BLUSZCZ

ROK LIX Nr 45

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

WARSZAWA, DNIA 6 LISTOPADA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Listopad — niebezpieczny miesiąc dla polaków — *H. Ceysingerówna.* Zaduszki — *Marja Wróblewska.* Dwaj „Żołnierze nieznani“ — *Z. Zawiszanka.* Liście, które lecą jak zew śmierci — *Cecylja Walewska.* Praca domowa ucznia (c. d) — *T. Męczkowska.* Wiersz: Córeczka — *Felicja Kruszewska.* O zmierzchu (nowela) — *Zygmunt Kisielewski.* Córka Boga (dokończenie) — *Z. Zawiszanka.* Z żałobnej karty. Sport w zimie — *K. Muszałówna.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Wystawa wzorowej bibljoteki dla młodzieży i wystawa pomocy bibljotecznych. Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Woreczek na lornetkę. List z Paryża — *Noémi.* Wrażenie z wystawy „Kultura ciała i stroju“ — *Well.* Polska współczesna. O wnętrzach mieszkaniowych (c. d.) — *Zygmunt Knothe.* Nonszalancje towarzyskie — *Pani Elżbieta.* Pochwała jabłka — *K. B.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy Kobiety annamickie“ — *C. Chivas - Bazan* (tłum. Dr. M. Kasterska). Arkusz wzorów.

„LISTOPAD — NIEBEZPIECZNY MIESIĄC DLA POLAKÓW“

Zaczęło się to owego ponurego ranka, dnia 4 listopada 1794 r., gdy kolumny Suworowa, zachęcone wodza odezwą, wdarły się na szańce Pragi. Odezwa uczyła: „Gdy nieprzyjaciel ucieka do miasta, zwróć na niego jego armaty, strzelaj gwałtownie w ulice, walcz żwawo: niema czasu go ścigać... wyrzynaj wroga na ulicach, kawalerja niech rąbie... Gdy mury zostały opanowane, bierz łupy... Łup jest rzeczą świętą... zdobędziesz obóz — wszystko twoje, zdobędziesz fortecę — wszystko twoje.“

Pojętni uczniowie przewyższyli pokładane w nich nadzieje. Gdy w godzinach popołudniowych tego dnia przeprawił się przez rzekę pewien handlarz niemiecki, zawiadomiony, że kozacy zabezcen sprzedają „święty łup wojenny“, zastał w kałużach krwi, wśród trupów żołnierzy, kobiet, dzieci, stosy wszelakiego dobytku.

I handlarz ów, rzeczy gorące jeszcze od krwi ludzkiej oglądał, targował, kupował. Wykupił także za rubla małego chłopczynę, żydka, z pośród gromady tak spędzonych na któreś podwórze pacholąt, do których, jako już ostatnią zabawę sportową to traktując, jak do celu, strzelali kozacy...

Tak zaczęła się owa przedziwna litanja rocznic listopadowych. Tylko że, wszystkie następne są już zorzą... jakby z tej zorzy krwi okrutnie przelanej zrodzoną, krótką zorzą jesiennego dnia... aż się w ostatnią w końcu w zorzę wiosny, w zorzę nowego życia rozpaliła...

Już w 12 lat po szturmie Pragi zabłysnęła pierwsza z listopadowych zórz. Z szumem huraganów chodziły wtedy po Europie burze wojenne. Korsykanin walił trony świata. I stał się rok 1806 — Jena, Auerstaedt... Dąbrowski, Wybicki lecą do Berlina na łeb, na szyję!.. Monarchji starego Fryca już niema! Tylko wschodnie posiadłości Prus, tylko zabór polski ostał się we władaniu króla uciekiniera. Kto chce zgnębić Prusy, musi podnieść sprawę polską, musi dźwignąć głowę tej umarłej dla świata.

Powstanie! Już Wielkopolska pierze prusaków, a król pruski ogłasza „Publicandum przeciw burzycielów i przyjaźnych do insurekcyjnych poruszeń w Prusach południowych“. Odezwa chwali lojalność Departamentu warszawskiego, bo Warszawa, pod jarzmem pruskiem zcichła, nie wie jeszcze o niczem. Nie dopuszczają do niej wieści... czeka i serce bije jej mocno tętnem zmartwychwstania. Aż w noc 26 listopada, gdy spała pełnym przeczuć snem, ciszkiem, milczkiem wojska najezdnika, wojska przeniewiercy opuściły tragiczne mury stolicy zhańbionej, spaliły za sobą most... Warszawa obudziła się wolna z ks. Józefem Poniatowskim, jako komendantem milicji obywatelskiej... Wolna! A już tego samego dnia, pod wieczór ulicą Chłodną od rogatki Wolskiej wpadły pierwsze

podjazdy francuskie, wichrem przebiegły przez miasto i stanęły przed zamkiem.

Legenda, złota legenda Napoleońska już była w mieście! Strumienie łez... płacz i śmiech, wyciągnięte do francuzów ramiona ludu! — Niech żyją! Wynoszą wino, poją, raczą, każdy chce mieć na kwaterze choć jednego napoleońskiego żołnierza.

Warszawa szaleje z radości.

A nazajutrz widzi już w swoich murach pióropusze Murata. Nowa fala entuzjazmu! Cała ludność jest na ulicach. Cisną się do żołnierzy, całują konie. Złota legenda napoleońska na białym rumaku sławy wkroczyła do kraju niewoli...

Tak się to paliły i wypalały serca polskie z pokolenia w pokolenie, coraz tragiczniej brocząc krwią i ducha wolnego wysiłkiem.

Typ belwederczyka!

Może widzieliście w książce Tokarza grupy belwederczyków?

Wszystkie twarze mają ten sam wyraz, w różnych dozach z głębin dusz wydobyty.

Każde pokolenie ma swój typ.

Ludzie z r. 63-go są całkiem inni: głębsi, smutniejsi, piętnem tragizmu całkiem zacieniowani; oczy ich goreją beznadziejną ofiarą...

Belwederczyk ma w sobie przedewszystkiem moc decyzji żołnierskiej.

Czternastu ich, ostatecznie, w ciemnościach nocy listopadowej pod pomnikiem króla zostało, ale ci...

„Kto się raz w życiu swojem — pisze jeden z nich, znajdował w tak uroczystej chwili, ten mnie zrozumie, kiedy powiem, że ludzie wtedy czują się nawskroś i najdrobniejsze czyjeś zachwianie byłoby się natychmiast w nas wszystkich odbiło... Byliśmy ręką Boga przesiani, jak w przetaku i kto był przeznaczony, ten pozostał na miejscu."

A przeznaczeni byli do zniszczenia poczynającej się polsko-rosyjskiej symbiozy, do odświeżenia we krwi, nietylko wrogiej lecz i bratniej, ideału niepodległości, odpływającego z każdym rokiem dalej we mgły, w świątnice wspomnień, w dal nieziszczalnych marzeń.

Już brat carski, o inteligencji kaprala, o twarzy psa, kochany był przez piękną i inteligentną polkę. Nie z wyrachowania, nie z ambicji, nie z bierności była mu małżonką Joanna. Gdy umarł, warkocze swoje obcięła i włożyła mu do trumny...

Joanna jest symbolem. Już kameraderja broni poczynała się między polskiem i rosyjskiem wojskiem, konsystującem w stolicy.

Już opinje, że „muru głową nie przebije", że „gdzie przeskoczyć nie można, tam trzeba podleść" stawały się opinjami większości.

Już stare lwy napoleońskie, syte sławy, przestawały stroszyć grzywy. Żołd dochodził regularnie... Już ciepły przypiecek autonomji poczynał smakować społeczeństwu...

Trzeba je było spędzić z przypiecka, na pole śmiertelnych walk i nieśmiertelnych wawrzynów, Trzeba było wydobyć ze swego pokolenia ton prometeiczny,

To mieli za główne zadanie belwederczycy, podchorążowie, spiskowcy...

Rzeką krwi odgrodzić Polskę od Rosji! Wykopać przepaść między ideałem a rezygnacją!

A nadawała się na rozpoczęcie najlepiej ciemna noc listopadowa, szeleszcząca opadłym liściem, sama czarna jak spisek, tajemniczych poszeptów pełna, nierozumiałych drżeń, głuchego podziemnego lęku, a potem znów czarnej ciszy pełna...

Wtem wrzask: Śmierć tyranom!...

„Siódma wieczorem, dwudziesty dziewiąty — to najpiękniejsza z mych pieśni piosenka"! powie o niej potem na tułactwie Seweryn Goszczyński.

„Rzuciłem pióro, a bagnet chwyciłem, rozwinąłem na śmierć skrzydła..." To był ich ton.

Żadne z wielkich listopadowych zdarzeń nie pozostawiło w psychice polskiej tak trwałych śladów, jak ta noc 29-go. Żadne nie skrystalizowało tak ideologji świętego buntu.

Belwederczycy spełnili swoje zadanie.

I odtąd listopady są ciche. Gwiazda Saturna nie przyświeca następnym ruchom.

Aż... pewnego 5 listopada, mocarstwa rozbiorowe, odwieczni wrogowie Polski zmuszeni są wyrzucić na świat wyraz „niepodległość". Czynią to tak, jakby kto djabła, groźbą święconej wody, przymusił do odmawiania pacierza, ale czynią. Słowo pada na zalane krwią obszary Europy i zmusza stronę przeciwną do odbicia go, jakby echem. I po Europie, zlanej krwią, jako jedyny zaprawdę rezultat wstrząsającej całym światem wojny, niesie się to dziwne słowo: niepodległość Polski!

Jeszcze jedno zmaganie! Hasło wymaga realizacji, krwawej pieczęci na traktacie tajemniczych potęg, rządzących historją i oto przychodzą krwawe dni listopadowe 1918 r. Na północy i w centrum Polski— wymiatanie resztek okupacji niemieckiej, na południu zasię, przedziwny bój o Lwów!

I tu i tam uwidocznia się nowy element obronny: kobiety, dzieci...

Podczas tego okresu niewoli, tego okresu pozornej śmierci, narosło więc Polsce tyle sił?!...

Jak przed stuleciem przeszło Racławice były Polsce zwiastowaniem, iż na widownię dziejów wchodzi element nowy — chłop polski, tak Lwów wska-

zał Polsce kobietę i dziecko. I to jest jego nieśmiertelna wymowa. Kto je widział wtedy, te oddziałki chłopiąt nieletnich, ginących tak po bohatersku, kto widział te dziewczyny, bladawe od trudów, chmurne i zawzięte, ten zrozumiał, że to plon dawnych listopadowych nocy, że bóstwo odrodzenia, „nie zmarniło krwi", rzuciło ziarna krwawe pod całuny śniegów, pod ucisk grud zimowych, by o historycznej wiośnie odtajały i zazieleniły się nowem życiem.

I kto je widział te nowe siły Polski zmartwychwstałej, ten w nią nigdy już nie zwątpi i ten wie, że o godzinie niebezpieczeństwa i grozy Polska sięgnie pewną ręką do spichlerza nowych i nieprzebranych swoich sił. I kto je widział wtedy, ten wie, że one jej po wszystkie razy odpowiedzą gotowością radosną na śmierć. „Bo tylko ze śmierci wstaje nowe życie".

Taka jest nauka listopadowych nocy.

H. Ceysingerówna

ZADUSZKI

Niewiele już ogniw wiąże dzisiejsze życie religijne z życiem pogańskich naszych praojców. Od wieków zapomnieliśmy o gromowładnym Perunie i o szczodrze obdzielającym darami Daćbogu — słońcu, o wiłach — duchach, zamieszkujących góry, lasy i wody, o gajach świętych, gdzie kapłani-żercy krwawe nie raz sprawowali obiaty.

Kościół chrześcijański, chcąc na podstawach prawdziwej wiary przetworzyć życie pogańskiej Polski, musiał walczyć z dawnemi wierzeniami i praktykami religijnemi — niektóre niszczyć, inne uświęcać.

Ciekawe dane o święcie umarłych na ziemiach Polski znajdujemy w pracy profesora A. Fischera p. t. Święto Umarłych.

Dzisiejsze, listopadowe Zaduszki zawdzięczają powstanie swe i rozpowszechnienie klasztorowi Benedyktynów w Cluny w Burgundji. Miało to miejsce przy końcu X wieku, w roku 998.

Legenda średniowieczna w następujący sposób historję tę opowiada: Pewien pustelnik mieszkał w pobliżu wulkanu, w którym męczyły się dusze potępionych grzeszników. Świętobliwy starzec słyszał nieraz djabły, skarżące się na to, że modlitwy i jałmużny pobożnych ludzi, szczególnie zaś zakonników klunjackiego klasztoru, utrudniają im dręczenie tych dusz nieszczęśliwych. Opowiedział więc to opatowi owego klasztoru—św. Odilonowi. Święty zakonnik tem goręcej zabrał się do dzieła i przeznaczył dzień 2 listopada na modlitwy i nabożeństwa za umarłych. O ile opowiadania tego, ze względu na legendarny jego charakter, nie możemy uważać za fakt historyczny, o tyle data powstania tego święta jest prawdziwa. Tworząca się więc Polska chrześcijańska zastała święto Zaduszek utrwalonem i rozpowszechnionem. Nie znaczy to jednak bynajmniej, że kult i pamięć o zmarłych powstały dopiero przy końcu X wieku naszej ery. Kult ten bowiem jest tak dawny, jak dawną jest wiara w duszę ludzką i w jej życie pozagrobowe. Charakter zaś tego kultu jest zależny w zupełności od pojęć człowieka o życiu pozagrobowem, o potrzebach i pragnieniach duszy na tamtym świecie.

Dawni Słowianie, a więc i pogańska Polska znała również i praktykowała kult dusz przodków. Święta umarłych były liczne, święcono je w różnych porach roku, najczęściej jednak w okresie wiosennym: od Wielkanocy do Zielonych Świątek i na jesieni około jesiennego porównania dnia z nocą. Nie było też widocznie ustalonej nazwy owych świąt, przeszły bowiem do historji pod wielorakiemi nazwami Dziadów, Pominków, Zaduszek, święta Ubożąt, Nawskiego dnia. Na Rusi nosiły miano: Radunicy, Chautury, Rusalnawo dnia i inne. Wszystkie te święta zanikały stopniowo pod wpływem kościoła, szybciej na ziemiach rdzennej Polski, wolniej na wschodnich jej kresach. Miejsce wszystkich pogańskich, odwiecznych uroczystości, poświęconych pamięci zmarłych, zajęły w Polsce chrześcijańskie listopadowe Zaduszki.

Zaduszki są więc w historji rozwoju omawianych świąt umarłych, nie pierwszem, lecz ostatniem ogniwem, wiążącem życie dzisiejsze z pogańską przeszłością naszego narodu.

Ale właściwie dlaczego czcił człowiek dusze przodków? W jaki sposób cześć tę i miłość im okazywał? Dlaczego przeznaczał określone dni w roku, pamięci ich poświęcone? Czy dlatego, że je kochał, że tęsknił za tymi, którzy odeszli? Czy dlatego, że chciał duszom tym pomagać, lub sprawiać im przyjemność? Być może. Wszak miłość i tęsknota nie były z pewnością obce najpierwotniejszej duszy ludzkiej, choć w odmiennej, niż dzisiaj, przejawiały się formie. Możemy jednak przypuścić, że i inne motywy odgrywały tu doniosłą rolę. Człowiek bał się śmierci, tego najgroźniejszego zjawiska życia, a lęk ten, w zupełnie zrozumiały sposób, musiał rozciągać się i na te wszystkie istoty, które przestąpiły tajemniczą zasłonę śmierci i zerwały więzy z życiem ziemskiem. Takiemi istotami były wszystkie dusze zmarłych przodków.

I chociaż pierwotnie wyobrażał sobie człowiek życie pozagrobowe jako ciąg dalszy życia ziemskiego, to jednak przypisywał duszom tam pozostającym nadprzyrodzoną moc działania na jego korzyść, lub szkodę. Dlatego człowiek starał się w najrozmaitszy sposób okazywać tym duchom cześć i przywiązanie, wierząc w to, że gdy pozyska ich łaski, staną się jego opiekunami na tym świecie. Między światem żywych i umarłych wytworzył się ścisły związek, polegający na tem, że żywi pamiętali o potrzebach dusz umarłych, te zaś darzyły żywych łaską swą i opieką. Duchy przodków to opiekuńcze duchy każdej rodziny, czy rodu, to jakby ich bóstwa domowe.

Sposób zdobywania łaski dusz — opiekunów i okazywania im czci ulegał naturalnie w ciągu wieków przeobrażeniom. O tem, w jaki sposób okazywano

w Polsce przedhistorycznej cześć zmarłym, możemy częściowo przypuszczać na podstawie dzisiejszych obrzędów i praktyk Rusi i Litwy, lub z opisów kronikarzy średniowiecznych, podających szczegóły z życia Słowian.

W myśl tych wierzeń i obrzędów dusza ludzka doznawała na tamtym świecie wszystkich przykrości, cierpień i radości, jak podczas życia swego na ziemi, a więc: mogła być głodną, spragnioną, lub zziębniętą; odczuwała gniew, smutek i opuszczenie; umiała mścić się na tych, którzy o niej zapomnieli, zarówno, jak nagradzać tych, którzy spełniali wszystkie względem niej obowiązki. W jaki więc sposób mógł pozyskać człowiek żyjący łaskę duszy umarłego? Oto dawał jej to, czego była spragnioną, a jednocześnie pozbawioną na tamtym świecie: przygotowywał jadło i napoje, aby ją nakarmić, ogień, by ją ogrzać, wodę, aby się mogła umyć i ochłodzić.

Kazania staropolskie z r. 1497 mówią nam, że jeszcze przy końcu XV wieku w wielki czwartek palono „grumadki" jarzące na pamiątkę dusz najbliższych, twierdząc, że one do tego ognia przychodzą i przy nim się grzeją. — Inne źródła staropolskie wspominają, że jeszcze w połowie XVII wieku panował zwyczaj zostawiania potraw we czwartek po wieczerzy dla ducha niewiadomego, który je w nocy zjada. Jadło i napoje zostawiano zwykle na grobach przodków, często na rozstajnych drogach, gdyż dusze lubią błądzić po ziemi i chętnie widzą przygotowany dla nich posiłek. Na cześć umarłych urządzano też uczty, zwane dawniej t r i z n a m i, potem s t r a w ą, wreszcie s t y p ą.

Musimy tu jednak rozróżnić prywatny kult przodków od publicznego, którego wyrazem były i są uroczystości doroczne, pamięci ich poświęcone. Bo chociaż oba te kulty, co do istoty swej są identyczne, to jednak fakt powstania specjalnych świąt umarłych mieści w sobie i inny jeszcze pierwiastek. — Oprócz zwyczaju zostawiania w dni takie jadła, napoju i innych oznak pamięci o zmarłych, urządzano w święta te uczty dla żywych, czasem na mogiłach, (chociaż co do tego nie mamy pewności, czy w Polsce miało to miejsce) częściej po domach. Uczty te odbywały się porą wieczorną, lub nocną, spożywano je w głębokiem milczeniu, z każdej potrawy rzucano po parę łyżek pod stół, lub w kąt izby, dla u b o ż ą t. Każdemu z nas nasuwa się pytanie, w jaki sposób tłumaczył sobie człowiek akt jedzenia tych potraw przez duchy?

Czy nie widział, że jadło zostaje nietknięte? Otóż możemy przypuścić, że człowiek rozumował w ten sposób: dusza umarłego spożywa przygotowany dla niej posiłek w sposób nadprzyrodzony, zostawia napozór potrawę nietkniętą, ale zabiera niewidzialną jej cząstkę, e s e n c j ę, czy też d u s z ę potrawy. Dla tego, chociaż ludziom wydaje się, że dusze nie korzystają z jego darów, one jednak pokrzepiają się w sposób nadzmysłowy i odchodzą zadowolone.

Uczty, urządzane na cześć zmarłych, zatracały stopniowo poważny swój charakter, przechodząc w wesołe zabawy, kończące się pijatyką. Znamy niestety przysłowie: „Upij się, jak na stypie". Z czasem, prawdopodobnie pod wpływem kościoła, zastąpiono pojęcie d z i a d ó w-p r z o d k ó w dziadami-żebrakami, pojęcie u b o ż ą t-d u c h ó w rzeczywistemi ubogiemi na ziemi. I oto rozpowszechnił się zwyczaj rozdawania w święta umarłych jałmużny dziadom-żebrakom w formie jadła i napoju. Zwyczaj ten związany jest do dnia dzisiejszego z naszemi Zaduszkami, a ten właśnie szczegół upoważnia nas do uważania Zaduszek za spadkobiercę pogańskiego, polskiego święta umarłych. Lud nasz w Kieleckiem piecze na dzień ten drobne bochenki chleba zwane z a d u s z k a m i, a rozdając je żebrakom prosi wzamian o pacierze za umarłych.

We wszystkich zachodnich województwach naszego kraju widzimy pieczywo jako obrzędową potrawę dla ubogich; są to kołacze, podpłomyki, lub chleby o specjalnych nazwach, jak to widzieliśmy przed chwilą.

We wschodnich zaś województwach miejsce pieczywa zajmuje kasza, jako bardziej pierwotna potrawa.

Pozostaje nam jeszcze w paru słowach odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wybierał człowiek specjalne dni w roku, dla czczenia swych przodków? Dlaczego odprawiano te uczty nocną, lub wieczorową porą? Możemy przypuścić, że jakkolwiek bardzo materjalnemi były pojęcia człowieka o życiu pozagrobowem, to jednak nie wyobrażał sobie, żeby dusze zawsze, o każdej porze dnia i roku mogły się zjawić na jego wezwanie.

Duchy przybywać mogą na ziemię tylko czasem, w chwilach ważnych, w okresach czasu, lub podczas dni, w których się „coś dzieje" na ziemi, „coś" brzemiennego w następstwa dla człowieka i jego życia. Takiemi okresami były bezwątpienia dla człowieka: późna jesień, gdy wszystko dokoła niego zamierało na długie miesiące i wiosna, gdy po śnie zimowym natura budziła się do życia. Nie zapominano o umarłych i podczas innych uroczystości dorocznych. Jesień jednak, bardziej niż wiosna odpowiada uczuciom naszym, związanym z pamięcią o zmarłych. Jesień późna, drzewa ogołocone ze swych barwnych szat, deszcz, mgła, wicher i coraz większy mrok, ogarniający ziemię, rodzą w duszy człowieka smutek, tęsknotę i nasuwają mu myśl o tych, którzy odeszli. Nic więc dziwnego, że kościół dzień 2 listopada przeznaczył na dzień Z a d u s z n y. — I w naszych czasach tłumy ludzi ciągną na cmentarze, niosąc ukochanym swym modlitwy, kwiaty i lampki.

Oto są dary, jakie człowiek współczesny składa swym umarłym. Tłumno i cicho dokoła. Stajemy nad grobem w milczeniu, kwiaty i zieleń okrywają mogiły, a lampki woskowe nikłe rzucają światełka. Na usta cisną się słowa modlitwy: „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków Amen."

Marja Wróblewska.

DWAJ „ŻOŁNIERZE NIEZNANI“

Raz jeszcze wróciło ku nam echo z mierzchnącego już w oczach „kraju ognia i krwi“ — ze wzniosłych czasów wielkiej ofiary.

Ofiary tej symbol najpiękniejszy, proch bezimiennego żołnierza, przeszedł w roku ubiegłym w triumfalnym pochodzie przez Polskę — od najmężniejszego z jej miast ku stolicy. I znów sprężyły się serca wiarusów gotowością dawną — i znów „zagorzały oczy młodości“ ku czynom przyszłym, płomienną nadzieją dumy, że i oni....

. . . . . .

Szło ich dwóch niegdyś na obronę Lwowa, w jednakim żarze zapału, w jednakiem zapomnieniu o sobie i o wszystkiem, co nie było Ojczyzną. Daleko poza nimi pozostał bezbronny lęk matek, troska o chleb powszedni, wszelkie obrachowanie: co będzie dalej? Radosne skrzydła natchnienia niosły ich lekko, dźwigając ponad straszliwe utrudzenie ciała, ponad rany, ponad ciągłą grozę śmierci.

Szczęśliwi byli wówczas ci młodzi chłopcy, przyjaciele od lat dziecinnych, dziś towarzysze, co z jednej menażki jadali na postojach i wspólny w ogniu okop sobie żłobili w mokrej glinie — i ramię przy ramieniu szli do ataku.

Lecz pewnego dnia zimowego rozeszły się ich drogi — rozdzieliła je ciosem niemylnym mała kula karabinowa, dotykając serca starszego z żołnierzyków lotem tak miłosiernie szybkim, że zaledwie wiedział, czy umiera. „Za Polskę...“ przemknęło tylko w zmąconej nagle myśli i broń się wysunęła z martwiejących dłoni.

A tam... po drugiej stronie?... Legendy wszystkich ludów mówią od tysiącleci, że niema nic piękniejszego nad to, co zgotowano w owym tajemniczym kraju duszom poległych za umiłowaną sprawę. Więc stało się pewnie, że na spotkanie młodego polskiego ochotnika wyszedł zastęp tych samych rycerzy, do których modlił się kiedyś dziecinnym zachwytem: sam Leonidas, nieśmiertelny król Lakademonów, i rycerskie pacholę z pod Warny i srebrny majestat hetmana Żółkiewskiego... Otoczył go już na wieczność i poniósł ku Bogu ten sam poryw, co zdmuchnął go z ziemi — to samo szczęście, co mu płonęło w duszy na chwilę przed odlotem, gdy zawzięcie ładował karabin.

A ciało złożone pospiesznie w jakiejś mogiłce śródpolnej... bylejak nabazgrany napis spłukały wkrótce deszcze — krzyżyk tylko pozostał prosty, bezimienny. Bujny, wesoły, pełen życia chłopak, na zawsze stracona chluba rodziców, jedyne szczęście narzeczonej, daremnie poszukującej grobu — stał się Żołnierzem Nieznanym.

. . . . . .

W tej samej bitwie pękający szrapnel urwał młodszemu z towarzyszy prawą nogę. Jakiegoż zapału nie strawi szpitalna gehenna, rozpacz kalectwa, męki długiej choroby? Wyszedł na świat o kuli już nie ten sam.

Zszarzało mu w oczach wszystko, gdy powrócił do rodziny, niepotrzebny teraz Sprawie, niezdatny już do normalnego życia. Bo też skończyło się życie, a zaczęła wegetacja, nieopisanie trudna i bolesna.

Zdawało się zrazu, że zasiłek inwalidzki starczy jakoś na utrzymanie — że dadzą przecie jakieś zajęcie, skoro ręce miał zdrowe i dość jeszcze sił. Zdawało się to nieprawdopodobnem. żeby zapomniano o obrońcy kraju, żeby mu nie pozwolono zarobić, tak jak jeszcze potrafi, na siebie i starą matkę. Wierzył, starał się, kulał od biura do biura — pisał dużo, dużo podań i listów, coraz bardziej gorzkich... Zaczepił się wreszcie o jakąś fabryczkę, gdzie go znajomy zaprotegował — lecz po roku przyszła redukcja pracowników i zmiotła go bez ratunku, jak tyle innych istot bezbronnych.

Aż przyszło wreszcie do tego, że stanął na ulicy, wyciągając do ludzi po datek tę samą rękę, co przed laty przykładała do ramienia karabin w obronie Polski. Byłby wolał skoczyć z okna na bruk — gdyby nie matka, zniedołężniała już i chora. Z początku przechodził piekło na ziemi — najstraszniejsze piekło szyderstwa z własnych rodaków — lecz później i to w nim zamarło... Stał się tem, na co go skazano. żebrakiem.

Aż pewnego dnia listopadowego zbudziło z martwoty duszę przygasłą ogromne bicie dzwonów—i ten sam los dziwny wepchnął kalekę w pierwszy szereg tłumu, czekającego na pochód pogrzebowy.

Tam, wysoko, na lawecie armatniej, w glorji największej chwały ziemskiej, wśród entuzjazmu ludu, jechał tamten drugi — tak bardzo szczęśliwy, choć nie więcej zasłużony — ów właśnie towarzysz broni, co pod jednym z nim sypiał kocem, równy w boju męstwem i w ciężkim marszu niestrudzoną pogodą. On, „Żołnierz Nieznany“, przytulony dziś do serca Ojczyzny w porywie miłości bezpamiętnej — zamieniony w sztandar najczcigodniejszej ofiary.

Nie mógł go poznać poprzez tę trumnę bezdomny inwalida — a jednak przeczuł może, bo wargi, nasiąkłe solą łez, wyszeptały prawie głośno:

— Dlaczegóż to ja nie zginąłem, jak tamten?!

. . . . . .

Ach, nie ja będę tym, co rzuci kamieniem na wrodzoną rasie naszej skłonność do wielkich gestów, do symbolów, do świąt narodowych. Jakieś się w tem tai ziarno zdrowe — nie sama jeno próżność i bezmyślne zamiłowanie w paradzie...

Nie wolno bezpośrednim skutkiem wyłącznie mierzyć wartości ludzkich czynów.

Niepotrzebne są zapewne umarłym światła, które palimy na grobach w dzień zaduszny. Niepotrzebne były ofiarom sławnej katastrofy Titanic'a te setki wieńców, przywiezione specjalnym statkiem, które rozrzucono po tych samych falach, co wchłonęły okręt olbrzymi. A przecie pozazdrościć można tej myśli i zapomnieć jej już nie sposób.

„...To tem piękniejsze, im mniej pożyteczne“!— woła Rostand ustami Cyrana de Bergerac, tego symbolu rycerstwa „bez trwogi i skazy“.

Rostand był Francuzem — i właśnie Francja to pierwsza dźwignęła z zapomnianej mogiły bezimienne kości, aby je złożyć w najświetniejszym grobowcu stolicy, pod strażą wiecznie płonącego znicza.

A le we Francji żaden chyba inwalida nie żebrze i głodu nie cierpi!

Niechże goreją oczy młodości nad nowem mauzoleum na Placu Saskim — niech ręce dziecinne składają tam kwiaty jaknajczęściej, jaknajtłumniej... bo z tych kości, zaprawdę, legjon zastępców rośnie, legjon nowych kiedyś obrońców.

Tylko... czyby nie można wymyślić także choć jednego dnia zadośćuczynienia dla tych, co oddali Ojczyźnie coś więcej może, niż życie, bo zdrowie i siły? Czy choć raz nie powinny pokłonić się sztandary i wojsko sprezentować broń przed tym ż y w y m symbolem walki i bohaterstwa? Czy ich poniżenie nie hańbi nas wszystkich? Nie deprawuje ludu i młodzieży?

Może nasz genjusz narodowy zdobędzie się wreszcie na takie święto sprawiedliwości — na jakiś piękny gest podzięki tym, którym także winniśmy wolność...

Skoro nie umiemy dawać poprostu i skrom nie chleba tym, co nań dobrze już zapracowali — dajmyż choć raz do roku kilku, czy kilkunastu, losem wybranym, ofiarom naszej wojny chleb owinięty w kwiaty i laur zasługi! Taki gest byłby także wielką nauką...

Tylko, że w Polsce umrzeć dopiero trzeba, aby zdobyć powszechną miłość i cześć. *Z. Zawiszanka.*

LIŚCIE, KTÓRE LECĄ, JAK ZEW ŚMIERCI

Cywilnym ofiarom wojny poświęcam.

Wolno, po usypanych suchemi liśćmi ścieżkach sunął fotel na kółkach. Stary Ignacy, pchając go, opowiadał:

— Więc to Niemcy i Austrjaki, to Moskale na zmianę. Każdy, aby palić, mordować, grabić. Bez sumienia. Bez potrzeby. Bo nieraz w lesie ciskali, co zabrali. A już najwięcej bolszewiki. To wtedy woda w Niemnie niczem krew...

— I nie byłby ocalał ani jeden dom... Padłby nawet sam kościół, gdyby raptem nie weszli Polacy — kończyła w myśli za niego Halina.

Umiała opowiadanie na pamięć. Dochodził do kropki i znowu od początku, jak zepsuta pozytywka, która gra, póki nie pęknie struna. Jednego słowa nie zmienił. Jednego zdania nie przestawił. Zmęczonym, starczym głosem kończył i zaczynał, zaczynał i nie kończył. A młodej dziewczynie zdawało się, że oszaleje. Wśród dwóch starców — ojca i dobrego kochanego sługi — ze swoją bujną, zdrową siłą, ze swoim pędem do życia... Czuła, jak ulatuje z niej krew. Jak drobina po drobinie sączy się dziwnie mdłem łaskotaniem, od mózgu, aż do stóp. Tak chyba słabnie się i omdlewa przed śmiercią, może też przed letargicznem zaśnięciem na dnie, na miesiące...

Nie chce letargu. Nie chce spać. Życie, młodość ma w sobie. Rano, po przespanej kamiennym snem nocy, wdrapałaby się na sosnę najwyższą przed domem. Coś w niej się śmieje i cieszy... A w parę godzin później — od ojca sklerotyka, który śpi cały dzień w fotelu i od starczych opowiadań Ignacego, spływa na nią to rozpaczne senne odrętwienie. I kołyszą się pod powiekami nieustępliwe widma. Matka, konająca na wygnaniu bez lekarza, bez księdza. Brat, stratowany przez samochód bolszewicki.

Nie chce. Nie chce. Pręży ramiona. Żyć, ach, żyć! Uciec od strasznych wspomnień. Zabić w sobie senne otępienie. Ale głowa opadła na piersi. Jak wczoraj, onegdaj. Jak od miesięcy. Zostaje ślepa rezygnacja.

Powoli sunął fotel na kółkach, pchany przez Ignacego. Szła za nim, poprawiając poduszki pod głową ojca, naciągając pled na opuchnięte nogi. W parku nad Niemnem starzec obudził się i kazał przystanąć.

— Nie chcesz mleka, ojcze!

Pokręcił głowę: „nie". Dał znak, żeby mu podać okulary. Otworzył powieki szeroko i wpatrzył się blademi oczami o dziwnie zwężonych tęczówkach w szarą wieś litewską na drugim brzegu rzeki. Te szare opłotki, szare konające drzewa, szare drogi z popielatą trawą. Nikt się tam nie ruszał. Jakaś kobieta w wypełzłej chustce na głowie wyszła z za opłotków, spędziła stado gęsi z nad wody i zniknęła za drzewami.

Głucha, pusta wieś litewska, a nad nią słońce, jak wielki topór...

— Ostatni już może taki dzień jesienny w mojem życiu — wyrzucił twardo z wysiłkiem starzec przebudzony.

A w dziewczynie załkało.

— Nie, nie. Raczej letarg, raczej śmierć, aniżeli stracić jego. I potem już nikt. Półobłąkany Ignacy. Sama z nim. Sama. W pustym, ograbionym domu. Bez żadnej pamiątki po matce, po bracie...

Tępe przerażenie, bunt wstrząsnął nią. Ale po chwili z głęboką pokorą:

— Jednak, gdy rozkażesz, Boże...

Uśmiechnęła się do słońca blado.

— Wszystko, wszystko przyjmę z rąk Twoich...

Pochyliła się nad ojcem. Pocałowała go w czoło. Namówiła na kubek mleka, który napełnił Ignacy z flaszki, przygotowanej w wózku.

— Chcesz jechać dalej? Czy może tu zostać w słońcu.

Kiwnął głową, żeby zostać i zasnął. A ona wyjęła z torebki ukochaną książkę. „De profundis" nauczyło ją wielkiej pokory wobec Boga i hardej dumy przebaczania złym ludziom. Nauczyło ją głębokiej miłości Chrystusa. Nauczyło patrzeć w siebie i w każde źdźbło trawy pod kątem prawd wiecznych. Nauczyło kochać drzewa, ptaki, kwiaty, księżyc, gwiazdy i każdy skrawek nieba nad wieczienną celą życia. Nauczyło nawet

w smutku śmiać się do słońca. Usiadła na ławce, powtarzając z pamięci jakieś drogie słowa i patrząc na tarasy, na zwiędłe kwietniki w głębi parku.

Już nie słyszała Ignacego, który mówił, mówił, jak schrypnięty gramofon. Po chwili nawet przestała powtarzać szeptem Wilde'a. Wpatrzyła się w drzewa, z których opadały liście. Kasztan strząsnął je już dawno. Sterczały nagie konary w srebrzystem omżeniu południa. Żółte — rdzawą tęczą mieniły się lipy i więzy. Mocno do gałęzi przywarły blado pomarańczowe o malinowym odcieniu liście grabów i buków.

A w głębi jakiegoś obumarłego trawnika całą gamą odcieni — od płowo-złotych do rudo-miedzianych zamajaczyły klony — drzewo królewskie. Miękki, cichy wiatr otrząsał ich czuby i słał ziemię dywanem topazowo-dukatowych arabesek. Padło kilka liści w oczach dziewczyny. Pożegnała je westchnieniem.

Może gońce zmarłych — duchy matki, brata?

Wtem coś musnęło jej usta. Żółto-zielona blaszka — listek topoli. Zatrzymał się na kolanach jej i jakby ułożył do snu cichego.

— Czego chcesz, maleńki? — Czyj smętek, czyje konanie mówi przez ciebie?...

Podniosła go do ust, ucałowała i zatrzymała w palcach.

Nagle wzrok jej uderzyła dziwna zjawa. Pod grupą modrzewi, których cieniutkie igiełki sypały się w słońcu, jak deszcz złoty, stanęło białe widmo. Nie siostra zakonna, cień wielki, połyskliwy. Dama ze świata.

Kroki jej były wolne. Przystawała chwilami, jak gdyby pod ciężarem czegoś, co na sobie czy w sobie dźwigała. Zdawało się, że padnie. Jednak szła — wysoka, prosta. Hieratycznym ruchem odrzucała gazę pyłów modrzewiowych i napastliwe niteczki babiego lata, które czepiały się twarzy jej, ust, ramion. Nie mrożyła oczów. — Nie zwieszała głowy pod naporem słońca, omotana jesienną pajęczyną, minęła ścieżki parku i zniknęła, jak majak, za sędziwą olchą, wygiętą grubym pniem w kształcie szerokiego siodła. Wpadała tutaj do szerokich wód Niemna bystra, żwawa rzeczka, opasująca zygzakowatem, wąskiem łożyskiem całą zdrojową osadę. Przerzucony był tuż w bliskości ujścia mostek, ginący zdaleka za kępami wierzb, łoziny, młodych olch. topoli. Zwiędły listek, który padł na ręce dziewczyny, jakby wyginał się w tym kierunku. Jakby naszeptywał: tam!... tam!...

Wtem coś plusnęło. Coś z głuchym chrobotem padło w wodę. A równocześnie rozległ się krzyk człowieka, łowiącego ryby przy brzegu.

— Na ratunek!... Na ratunek!...

Zbiegli się ludzie. Wrzawa głosów rozdarła powietrze.

— Utopiła się. Runęła z mostu do wody.

Stary Ignacy oprzytomniał nagle. Rzucił wózek i przyłączył się do zbiegowiska.

W chwilę potem już było wiadome. Zginęła w rzece siedemdziesięcioletnia staruszka, niegdyś olśniewająco piękna dama światowa, właścicielka kilku zburzonych doszczętnie willi, rentujących latem.

Ogłuchłszy po wojnie i straciwszy prawie cały majątek, skryła się w jakiejś jednej ocalonej izbie swoich rumowisk. Postanowiła żyć, dopóki nie zostanie jej tyle, żeby mogło starczyć na pogrzeb i na zapis kościelny. Sporządziwszy testament, po wyczerpaniu ostatnich groszy poszła na śmierć. Niepokalana w rysach twarzy i linjach postaci Junona. Ubrana, jak do ślubu, w subtelne tkaniny z dawnych czasów, opasana workami kamieni, pod białym płaszczem jedwabnym, żeby odrazu iść na dno.

Wydobyto martwe ciało. Odwiązano kamienie. Poniesiono zwłoki do pustej izby w rumowiskach.

Zwiędły liściu topoli, który spadłeś na ręce młodej dziewczyny, — czy nie byłeś gońcem śmierci?

* * *

Wracano powoli do pustego domu, ograbionego doszczętnie. Starzec drzemał w fotelu. Ignacy milczał. Ostatnie wydarzenie, wstrząsnąwszy nim przemożnie, odwróciło koryto myśli manjackich. Panna poprawiała poduszki pod głową ojca i pled na opuchniętych nogach.

Szybki mrok jesienny zwisał z konarów drzew gdy zatrzymali się przed szarą smutną willą, ską; niegdyś na cały las rozbrzmiewała gromka wesołość bujnego życia. Dosyt, szczęście, zdrowie bezpiecznej zdawało się, rodziny.

Wprowadzono chorego do pustych pokoi. Posadzono na jakiejś wyciągniętej ze strychu kanapie. Okryto szalemi, pledami. Zabrano się do przygotowania posiłku.

Otworzył oczy sklerotycznie blade o zwężonych tęczówkach.

Powiódł wzrokiem po ciemnym głuchym pokoju, do którego z za ścieżek parku zaglądały czarne jodły, sosny i świerki.

Zjawy upiorne. Widma śmierci.

Patrzył na nie. Odmawiał pacierze i myślał:

— Ostatni już może mój dzień jesienny...

W tej chwili z bzu pod samem oknem padł jedyny na krzaku liść — skulona, pół martwa blaszka ciemno-zielona. Uderzył o szybę, odbił się, zawirował i padł gdzieś w otchłań nocy.

Jak duch zbłąkany. Jak cichy zew śmierci.

Pisane w Tubądzinie, kiedy opadał kwiat akacji. *Cecylja Walewska.*

TEODORA MĘCZKOWSKA

PRACA DOMOWA UCZNIA

Tymczasem drobne, mało znaczące powiedzenia rodziców w rodzaju: „dlaczego dostałeś trójkę, kiedy umiałeś na czwórkę?“ albo „tylko dwa pytania ci zadał i postawił dwójkę“, albo „Adaś dostał czwórkę, czy on lepiej odpowiadał od ciebie?“ i t. p. sączą powoli, ale systematycznie truciznę do duszy dziecka i budzą w nim, ku jego własnej krzywdzie, początkowo drobne, a potem coraz poważniejsze wątpliwości.

Do obowiązku najbliższego otoczenia dziecka należy pilne i systematyczne notowanie wszelkich braków szkoły, ale nie po to, aby o tych brakach dyskutować z dziećmi i podrywać ich zaufanie do szkoły, lecz poto, by odpowiednim czynnikom w szkole zwrócić we właściwym czasie i miejscu uwagę na konieczność innego postępowania. Rozumiemy, że nie promowanie ucznia, jako godzące w gospodarcze interesy rodziny, żywo boli ojca lub matkę ucznia, stwarzając przez to wdzięczne podłoże do sądów mało objektywnych, musimy jednak tymże ojcom lub matkom nieustannie powtarzać, że sprawa promowania ucznia do klasy wyższej jest pierwszorzędnej wagi i że sposób, w jaki szkoła promuje swoich uczniów, dokładność i ścisłość tej właśnie pracy stanowi nietylko o poziomie naukowo-wychowawczym szkoły, ale i o tem, czy uczniowie są lub nie są przeciążeni pracą, czy wyrosną na niedołęgi życiowe, czy na dzielnych obywateli kraju. W szkołach, gdzie promowanie uczniów jest przeprowadzane z całą oględnością i precyzją, niema przeciążenia. Jasnem jest bowiem, że najbardziej przeciążeni pracą w danej klasie będą zawsze ci uczniowie, którzy nie dorośli do jej poziomu naukowego, a więc znaleźli się w niej dla tych czy innych przyczyn nieprawnie. W interesie rodziców przedewszystkiem leży, aby nauczyciele szkoły w porę się spostrzegli, że dany uczeń nie może podążać w pracy za swymi kolegami, że należy go pozostawić na rok drugi, aby mógł swobodnie i powoli przetrawić materjał naukowy, przepisany na klasę, do której należy. Nierzadko od tego momentu zależy całe przyszłe życie ucznia, jego stosunek do nauki i pracy wogóle. Niestety doniosłości tego zjawiska nie rozumieją nawet ludzie skądinąd rozumni i światli.

Złemu pojmowaniu celu uczenia się towarzyszy równie zła organizacja pracy domowej ucznia, właściwie zupełny brak wszelkiej organizacji.

W pracy ucznia w domu nietylko niema metody, ale niema nawet zwykłego ładu i porządku. Na fakt ten powinni zwrócić uwagę ci, co tak głośno i nieustannie wyrzekają na przeciążenie, czyniąc za nie odpowiedzialną tylko szkołę.

Tymczasem „dom“ ucznia nie jest tu bez winy, nawet wielkiej winy. Uczeń pracuje w domu niesystematycznie, kiedy i gdzie mu się podoba. Ani czas jego pracy, ani miejsce, gdzie praca się wykonywa nie jest określone, dziś uczeń uczy się przed obiadem, jutro po obiedzie, dziś przy tym stole, jutro przy innym stoliku. Otoczenie nie liczy się z tem, by w czasie gdy uczeń pracuje, zachować należytą ciszę, nie wchodzić i nie wychodzić nieustannie, nie rozmawiać nie załatwiać sporów rodzinnych. Za rzecz naturalną uważa się, że uczeń, ucząc się, bierze jednocześnie udział we wszelkich zjawiskach życia rodzinnego. Nierzadkie są wypadki, kiedy od tej nauki jest odrywany dla wykonania tej czy innej czynności gospodarskiej, załatwienia mniejszego lub większego sprawunku. I cóż dziwnego, że w takich warunkach siedzi uczeń nad książką godziny długie bez żadnej korzyści ale z istotnem przeciążeniem.

Obraz przezemnie naszkicowany nie jest bynajmniej przejaskrawiony: braki mieszkaniowe z jednej strony, niewystarczający takt pedagogiczny z drugiej u osób z najbliższego otoczenia ucznia — oto powody opłakanego stanu rzeczy pod tym względem. Na to, aby praca ucznia przynosiła pożądane rezultaty, trzeba ją tak samo umiejętnie i planowo organizować, jak pracę w szkole. Uczeń musi wiedzieć, że na tę pracę przeznacza się stale, codziennie te same godziny, że jest pokój lub ostatecznie kącik w pokoju, stolik lub biórko, na którem można rozłożyć książki, zeszyty, niezbędne przyrządy pomocnicze.

W czasie, gdy uczeń pracuje, powinno otoczenie zachować należytą ciszę i powagę, nie przerywać pracy ucznia rozmową z nim lub innymi domownikami. Tylko rozumnie pomyślane warunki zewnętrzne umożliwią uczniowi należyte skupienie uwagi, wciągnięcie się do pracy i, co zatem idzie, osiągnięcie pożądanych rezultatów. Gdy tych warunków uczniowi nie stworzymy, przyzwyczai się on do siedzenia nad książką, do pracy powierzchownej zupełnie niewydajnej. Te pozornie błahe rzeczy są w istocie pierwszorzędnej wagi i stanowią często o całej przyszłości ucznia. Bezład panujący w domu marnuje nierzadko zdolne i inteligentne dzieci, prowadząc w naturalnej konsekwencji do zdemoralizowania ich umysłu i spaczenia charakteru. Nawet uczeń pilny, chcący i mogący sumiennie pracować, nie jest w stanie przezwyciężyć tych poważnych oporów, które napotyka w domu, a które są skutkiem braku organizacji w życiu jego rodziny. W domu, gdzie nic nie dzieje się w określonej porze, gdzie wszystko się spóźnia, gdzie wszyscy czas marnują, nie można żądać od dzieci lub młodzieży, by umiała sama sobą należycie kierować i pomimo lub nawet wbrew wszystkiemu zachować sumienny i poważny stosunek do obowiązków szkolnych. Poszczególne takie wypadki zdarzają się: bywają dzieci, które i to potrafią, ale, niestety, należą one do rzadkich i podziwu godnych wyjątków.

Obok braku organizacji i metody w pracy domowej ucznia występuje często jeszcze inne, mocno niepożądane zjawisko, utrudniające czasami nawet uniemożliwiające normalną pracę. Mam tu na myśli t. zw. lekcje dodatkowe języków obcych, muzyki, śpiewu z jednej strony, z drugiej zaś lekcje, które młodzież klas starszych udziela dla celów zarobkowych. I w jednym i w drugim wypadku mamy do czynienia ze zjawiskiem niepożądanem, płynącem z zupełnie innych źródeł.

Z CYKLU: „DZIECI"

FELICJA KRUSZEWSKA.

CÓRECZKA

Mówiłam: ja nie chcę córki, ja chcę mieć tylko syna,
mocnego, jak pręt stalowy, jak wicher śmiałego chłopca!
Wszyscy to dobrze wiedzą — okropny kłopot dziewczyna,
jest cicha, zdradnie zaborcza i prędko staje się obca.

Syna szaloną radością sama się stanę szalona.
Będziemy nosić swą radość po drogach, polach i lesie.
Będzie miał jasne oczy i takie silne ramiona,
kiedy się zmęczę w życiu, na rękach mnie poniesie.

A biedna, mała córeczka miała serduszko złote
i słysząc moje słowa, okropnie się zmartwiła:
nie chciała mi robić zawodu, nie chciała zrobić kłopotu,
przedwcześnie się, bez krzyku, nieżywa urodziła.

Dziś leżę bardzo spokojnie i ciągle jestem senna,
we śnie, jak małe dzieci, idzie się czasem do nieba.
Patrzę na niebo przez okno (a niebo jest już wiosenne);
w pokoju są takie rzeczy, na które patrzeć nie trzeba.

Trumienka była jak śmieszne niebieskie pudełeczko,
jak duża książka z bajkami okucie miała na grzbiecie.
Maleńka biała wyprawka i puste dziecinne łóżeczko —
to są dwie rzeczy okropne. Najbardziej smutne na świecie.

SYNECZEK

Dziś syneczek przyśnił mi się mały,
miałam we śnie małego syneczka.
Tak bezradnie pierś moją chwytały
jego małe różowe usteczka.

Twarz anielską wychylał z poduszek,
jakby z białych ramek fotografji,
na mych ustach kładł maleńki paluszek
i nic nie jadł — wcale jeść nie potrafił.

Śmiał się tylko i oczy otwierał
bardzo jasne, ogromne, niebieskie.
Był daleki, jak ktoś, co umierał,
z żył nad noskiem błękitną miał kreskę.

Cała pełna byłam strasznej męki,
klekotało w gardle suche łkanie.
Umrze, umrze syneczek maleńki,
moje słodkie, największe kochanie.

Ach, nakarmić go chciałam, napoić,
z krwią mu napój dawałam i z łzami,
a on zaczął smugę światła łowić
różowemi, wiotkiemi palcami.

Nic nie słuchał, nic mnie nie rozumiał,
że mi śmiechem nawskroś serce przewiercił.
Tak jak ja, zupełnie żyć nie umiał
i wprost z moich w ramiona szedł śmierci.

ZYGMUNT KISIELEWSKI

O ZMIERZCHU

(N o w e l a)

Siedziałem na ławeczce w zamiejskim ogrodzie, chłonąc seledyny letniego zmierzchu. Klarowność przezroczy przenikała ziemię i niebo i wznosiła duszę ponad wiry zjadliwego głupstwa, ponad otchłanie ciemnego grzechu.

Jakiś przechodzień, siadając obok, zmącił moją samotność. Nie spojrzałem na niego, lecz twarda plama jego postaci, natrętnie wdzierająca się z ukosa pod powieki, kaziła głąb zmierzchu, brukała czarodziejstwo barw.

Zapaliłem papierosa.

— Przepraszam—odezwał się nieznajomy — i nachylił się nad zapałką.

Twarz jego wydała mi się znajoma, ale tak odmienna od obrazu spoczywającego w najniższych warstwach wyrozumienia, że moje zdziwienie udzieliło się widocznie nieznajomemu, gdyż zaczął mówić:

— Tak, to ja, ten sam! Nie myli się pan. Poznaliśmy się w czasie wojny, w Krakowie. Byłem młodym kapitanem, docentem in spe. Byłem rumiany, pełen życia, niezbyt rozumny, lecz djablo zarozumiały. Dzisiaj jestem już profesorem, ale rumieniec i tupet zagasły. Posiwiałem, zżółkłem. To ja, tak jest, to ja — zaśmiał się zgryźliwie.

Głos jego wibrował ironicznemi zygzakami, z upodobaniem upajając się drwiną.

Zażenowany i niepewny milczałem oczekująco. Czułem, że Sypniewski musi mówić dalej.

I rzeczywiście odezwał się po chwili a właściwie szepnął: — Niech pan spojrzy na tę tam gwiazdeczkę. Błyska ona niby iskra ducha z powijaków mgieł i tumanów zarozumiałości ludzkiej.

Zaskoczył mnie brak związku z poprzedniemi słowami, ale było to powiedziane z odcieniem głębokich, nieznanych mi skojarzeń czy doświadczeń. Spojrzałem na twarz profesora. Uderzył mnie wyraz męczeńskiej tęsknoty i bólu, którego przedtem nie zauważyłem. Z pod zwiędłej, sarkastycznie skrzywionej twarzy wychyliło się oblicze inne, które ludzie ukrywają, jak kora, zakrywa miąższ drzewa.

— Któż wie, czy nasze dusze nie powędrują tam po śmierci? — szepnął poufnie.

— Któż to wie, prawdziwie, któż to wie? — popotwierdził głosem, tłumiącym wzruszenie.

Kilka łez spływało po jego twarzy zaczepiając o zmarszczki. Obawiałem się grubym paluchem współczucia urazić jego serce, broczące nieznanem mi cierpieniem, któreby zapewne wytłumaczyło ruinę jego twarzy. Teraz przypomniałem sobie żywo dawną jej świeżość. Była ona rzeczywiście rumiana i młodzieńcza, a jego głos, zanadto może wysoki i cienki przecinał słowa niby brzytwą, nie dopuszczając żadnej wątpliwości ni sprzeciwu. Ten człowiek wchodził wówczas w życie jak szermierz posiadający niewzruszone przeświadczenie o swem zwycięstwie. Przypomniał mi się jeszcze ruch, pełen zaborczości, jakim wziął pod rękę swą powabną narzeczoną, dziewczynę o jasnych blond włosach, przeczystych, modrych oczach i uroczym uśmiechu, co złotym brzaskiem rozpylał się dokoła jej twarzy. Piękna to była i dorodna para.

— Zapóźno! — rzekł Sypniewski do siebie.

— Nigdy nie jest za późno — odrzuciłem mu na ślepo, ogólnikowo, niby tonącemu w jeziorze rozpaczy.

— Może, ale dla mnie zapóźno — powórzył bezdźwięcznie ale stanowczo. — Znał ją pan przecież. Była zdrowa, kwitnąca jak dziewanna. Ale w nocy przyszedł kosiarz i ściął ją jednym zamachem. Przedwczesny poród. Operacja. Zaczęło się o jedenastej w nocy. O godzinie ósmej już była martwa. Och, panie! Gdy tam szczękały instrumenty chirurga, padłem na kolana, wyciągając ręce do nieba—i objąłem pustkę. Próbowałem się modlić, żądałem cudu, ale słowa moje były martwe, nieprzetrawione żarem wiary żywej, fałszywe. Byłem człowiekiem pozytywnej wiedzy, uznawałem tylko zjawiska podlegające doświadczeniu, „fakty naukowe". Tej nocy rozsypały się fnndamenty mej wiedzy. Okazała się ona tak wątła, jak pręcik w żarówce elektrycznej.

— Żona więdła mi z minuty na minutę. Soki życia wyciekały z niej. W mych oczach zsuwała się w przepaść. Głupstwo młodości, siły, pychy! Muskuły moje były krzepkie jak liny, zwoje mózgu tętniły energją, serce przepełniała miłość, me zmysły drgały słońcem. Wszystko to był pozór, ślepa żywotność, nicość!

— Gdyby to mnie tylko groziła śmierć! Widziałem jak ludzie giną na wojnie. Jeden skok i już. Nikt o tem nie myśli, nikt nie dba. Ale tu umierała ona, Janina! Musiałem na to patrzeć i byłem bezsilny, sam, nędzarz, Hiob, z moją wiedzą, z moją siłą zuchwałą, z memi bicepsami. Kiedy rzuciłem się na ziemię, jak robak, błagając Tego, którego nie znałem, którym się nie zajmowałem, na mój jęk odpowiedzią było milczenie. Zapóźno, ach zapóźno!

Twarz Sypniewskiego pod wpływem bólu wygładziła się jak woda ścięta mrozem. Jego głos wysoki, rozgrzany bólem, wił się, drgał i dźwięczał, jak sprężyna puszczona w ruch.

— Lecz i to nie było najstraszniejsze — rzekł po chwili milczenia. Ja mogłem był zginąć z całą swoją pychą, samochwalstwem i głupotą, co tyle wiedząc, nie wiedziała niczego o najistotniejszej sprawie bytu. Ale okropnością, o jakiej nie może mieć wyobrażenia nikt kto tego nie doświadczył, była to chwila, gdy żona moja skonała. Leżała piękna, piękniejsza może niż za życia. Za życia? Za życia, to znaczy parę chwil temu, przed dwiema minutami. Pojmuje pan? Straszliwa, niepojęta nagłość faku, że Janina niemal w jednej i tej samej chwili żyła i przestała żyć, oświeciła mnie łaską jasnowidzenia. Ujrzałem z oczywistością najprostszego aksjomatu, że ona przestała żyć, ale nie przestała istnieć. Ona nie przepadła, tylko odeszła. Ale dokąd? Zgubiłem jej ślad i to stało się odtąd katuszą mego życia.

— Nauka o duszy, o drogach jej, o tajemnych szlakach, któremi wędruje. jest wiedzą najważniejszą ze wszystkich nauk. Moja wiedza wytrysnęła z poznania nagłego, z intuicji, z gleby śmiertelnego cierpienia. Ale przyszła za późno. Zemściły się na mnie długie lata zaopatrzenia się w bezduszną mądrość, naigrawającą się z pojęć metafizycznych.

— Dufny w jej wartość oraz doskonałość swego rozumu znalazłem się w chwili, kiedy istota bytu uka-

zała mi się jawnie, obnażona z wszelkich sofizmatów i złudzeń — bezbronny, świadomy swej omyłki, ale już niezdolny naprawić jej.

— Kochałem. Gdybym był nie kochał, sprawa wyglądałaby inaczej. Gdybym nie był kochał, zdobyłbym się może na heroizm starożytnego stoika, na determinację nowoczesnego sceptyka, co umiera z zimnym spokojem, nie pozbawionym piękna, ale odstręczająco jałowym. Kto kocha tego nie zwiedzie ambicja, odwaga rozpaczy, pycha. Ten w szaleństwie męki domaga się wiedzy ostatecznej. Wiem to dzisiaj. Dlatego wzruszyły mnie tak pańskie słowa, których nie uważam za poetycką metaforę, lecz za prawdę realną. Dlatego wyznałem panu...

— W chwili zgonu Janiny poznałem, że ona jest, lecz nie było mi dane wiedzieć, dokąd, w którą stronę powędrowała jej dusza. Związek między nami został rozdarty jednem cięciem, w jednej chwili, na zawsze. Czy na zawsze? Odtąd żyję na pustyni.

— Niech pan sobie wyobrazi, że pan tu siedzi teraz z osobą ponad wszystko kochaną. Naraz ona podniosła się, aby obejrzeć tamten klomb kwiatów. Zasłoniły ją te jodły i już więcej nie ukazała się nigdy. Cóż się z nią stało, na Boga? Czy ziemia ją pochłonęła? Wcieliła się w kwiat, czy rozpłynęła w powietrzu? Pan wie z pewnością niezbitą, że ona znajduje się w tym parku, ale szuka pan jej napróżno. Co za męka! Zdaje się panu, że ona ukrywa się za każdym pniem drzewa, za każdym klombem. Woła pan, wzywa, krzyczy w rozpaczy, lecz głos rozchodzi się i tonie w bezmiarach wiecznego milczenia. Nigdy pan już nie zobaczy jej. Czy nigdy?

— Tak to zostałem ukarany, ponieważ myślałem o wszystkiem, lecz zaniedbałem sprawę najistotniejszą. Katusze tęsknoty za nieuchwytnym cieniem. Wiem, że ona tam istnieje, lecz wiem także, że mi tej granicy nie wolno samowolnie przekroczyć pod karą przedłużenia rozłąki...

Supniewski zamilkł i bezradnie spuścił głowę.

Drzewa, krzewy i kwiaty i gwiazdy nad naszemi głowami w tkliwej trwodze słuchały skargi serca ludzkiego. Tylko pomruk stolicy spowitej w łunę świateł wieczornych głuchym basem dudnił zdaleka.

— Nie zwierzałem nikomu tajemnicy mej—szepnął Supniewski. Ludzie mają dla tych spraw uśmiech politowania albo grymas nieufności — nieszczęśnicy! — póki sami nie doznają... Żałosne króliki, które same siebie skazują na męki najokrutniejszego doświadczenia. Ja sam dawniej...

— Próżność, pycha i strach — rzekłem.

— A pan? — zapytał obcesowo.

Wobec wstrząsającej szczerości pytającego wyznałem:

— Sądzę, że śmierć i życie, to właściwie synonimy. I ja niekiedy daję się zwieść pozorom.., Wiem jednak, że pojmowanie życia jako zjawiska przeciwstawnego śmierci jest bezmyślnością, która paczy formy życia, czyniąc zeń sabat manekinów i nędzarzy, tchórzów udających siłę. To pierworodny, prosty fałsz, z którego lęgną się wszelkie inne kłamstwa i nędze tej ziemi. Ilekroć zapomniałem o tej prawdzie, błądziłem...

Blady księżyc wypływał mżąc srebrzystym kurzem. Twarz Supniewskiego pogrążyła się w jego świetle niby twarz lunatyka.

Tylko miasto huczało wciąż jak brytan warczący przez sen.

Z niezliczonych kwiatów niosły się ku niebu wonie niby westchnienia modlitwy, którą odmawia ziemia prosząc Boga o zmiłowanie nad lekkomyślnością swych dzieci. Z wież kościelnych zadźwięczały dzwony, niby dusza olbrzyma pijana zgiełkiem, szumem i złudzeniem potęgi, żaląca się sama nad sobą. Sprzeczności jęły się harmonizować, spływać, godzić, a pośród ciszy jeden rytm wieczysty, pulsujący zarówno w kielichu kwiatka jak i we wnętrznościach przestworzy międzyplanetarnych, dobijał się i stukał i kołatał w bramy serca człowieczego.

— Bądź wola Twoja... bądź wola Twoja — łkał profesor — bądź wola Twoja, o Boże!

Lecz były to te łzy, co padają na spieczone dusze rosą pociechy.

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

A jednak ono to właśnie nie tylko otoczyło jej czoło nową aureolą, lecz przekazało potomności najdalszej rysy jej tak wyraźne, jak rzadko kogo z wielkich ludzi. Gdyby nie proces w Rouen, który tak dokładnie utrwalił zeznanie Joanny, obejmujące spowiedź z całego jej życia — gdyby nie idąca w ślad za nim rehabilitacja, ze swojem mnóstwem świadków — wiedzielibyśmy o Dziewicy właściwie mało, nie mielibyśmy wglądu w jej świat wewnętrzny.

Sędziowie ani się domyślali, że niszcząc ciało tego osobliwego swego wroga, zabalsamowali niejako wspaniałą jego duszę. Dzięki nim właśnie piękno jej nabiera życia, oddycha nieskażoną prawdą, wychodząc z krain legendy naprzeciw naszym oczom zdumionym.

. . . . . .

Dlaczego światu potrzebne są męczeństwa? nie wiemy... jest to jedno z praw natury. Największe jednostki przez śmierć dopiero pieczętują swe dzieło, choć każda woła: „Panie, oddal odemnie ten kielich!“

Śmierć ta jest głęboko symboliczna: wszak całe jej życie było świadomie obranem, ekstatycznem spalaniem się na ołtarzu umiłowanej sprawy.

. . . . . .

Francja uczciła dopiero po śmierci najcudniejszego swego genjusza — nie umiała całkowicie pójść za nim, ani obronić go od doczesnej zguby.

Tem skwapliwiej powinnaby dziś odgrzebać z pyłu zapomnienia i otoczyć czułym szacunkiem imiona tych nielicznych rodaków, co zostali wierni Joannie, nietylko w doli, lecz i niedoli. Sztuka nie uczciła jeszcze rycerza bez skazy, Jana d'Aulon, co był przy Dziewicy we wszystkich bitwach, troszczył się o nią nawet mimo własnej rany[1]) i z nią razem

[1]) Pod St.-Pierre-le Monstier.

poszedł w niewolę. Nie ciąży na nim zmaza, plamiąca La Hire'a i innych bojowych towarzyszy: że nie odbili swego wodza z Beaulieu, ani z Beaurevoir...

La Pierronne! za mało się wie, za mało się mówi o tej ślicznej postaci — istnym symbolu wierności bezinteresownej. Naród winien jej wiekuistą wdzięczność: wszak owa jedna, bezbronna istota stanęła przy Joannie tak mocno, jak stanąć byli powinni wszyscy Francuzi.

Ta bretońska dzieweczka zasłużyła, by ją wielki jakiś artysta uwiecznił na płótnie, czy w marmurze z oczyma, co umieją wielbić aż do śmierci...

W rodzinnym jej kraju, tuż nad Atlantykiem, tym wspaniałym grobem Dziewy Francji, powinna stanąć wielka pomnikowa grupa: Joannę, rwącą się naprzód, ze sztandarem, zasłania szablą druh-rycerz a u stóp jej skulone drobne dziewczątko, w szerokim bretońskim czepcu i w sabotach, ze złożonemi rękoma, wpatrzone nabożnie w bohaterkę.

. . . . . .

Sztuka wszystkich krajów oplata się w nieustającym hołdzie wokół tej wielkości, wiecznie żywej i świeżej. Kto się jej tknie, ten zostaje poprostu urzeczony jakimś niezwalczonym czarem.

Nawet takim kpiarzom, jak Tvain i Shaw gaśnie uśmiech ironji na ustach i głowa się chyli w pokłonie. Nawet Anatol France, wbrew własnym intuicjom, składa świadectwo prawdzie płomiennemi słowy: „Jej szaleństwo mędrsze było od mądrości!"

Zaiste, można pokochać ziemię, za to tylko, że ona po niej chodziła. I należy do całej ziemi, nietylko do Francji jednej — ona, co czciła we wrogu nawet duszę nieśmiertelną i wierzyła gorąco, poprzez tumult i żar walki, w Chrystusowe braterstwo wszystkich ludzi.

A Polsce właśnie, bardziej, niż wielu innym krajom, bliską i drogą być musi ta „patronka podbitych..." przez swój wspaniały, wiekopomny protest przeciw niewoli i wszelakiej krzywdzie żywego narodu. To starsza siostra wszystkich pokoleń powstańców naszych, niedościgły pierwowzór Platerówny, Pustowojtówny i tych wielu bezimiennych nieraz kobiet, co chwytały za broń, dla wywalczenia wolności Ojczyźnie.

. . . . . .

Choć od tylu, tylu pokoleń stoi nam w oczach, z całym patosem nieprawdopodobnych zwycięstw — to przecie nie jest ani trochę „blaszaną rycerką", ćzy sztywną „świętą z obrazka". Jej świętość, jej rycerstwo, jej dziewczęcość kwietna, a krzepka — kipi od pięciu wieków krwią czerwoną, tętni nieprzebranem życiem.

Tkwią w niem wartości, do tej pory niedobyte w całej pełni, wartości, należące „do „żywota przyszłego wieku". Treść jej duszy, jej misji, nie przeżyła się jeszcze bynajmniej: czeka realizacji, woła o nią!

Ztąd może ten specjalny nawrót powojennego świata do rycerki XV-go wieku, jakby tęsknota do prostoty, natchnienia, zdrowej dzielności.

Shaw i Delteil jednocześnie niemal podnoszą to samo pytanie: czy mogłaby dziś istnieć taka?

A ja pytam: czemużby nie?!

Żadna epoka nie jest tak nędzną, aby się w niej Wielkość nie mogła objawić — a cóż dopiero nasza era kataklizmów i przebudowy! Czemuż właśnie w jej chaos twórczy nie mógłby zstąpić drugi genjusz kobiecości, by znękanej walkami ziemi raz jeszcze rzucić swe prawo radosnej ofiary?...

Nie wiem, czy taka niezwykła istota nosiłaby dziś pończochy jedwabne — jak przewiduje Delteil (może właśnie chodziłaby po dawnemu boso?) — nie wiem, czy prowadziłaby armje do bitew, czy siałaby ziarno pokoju... Porozumiewałaby się z wyższym światem całkiem pewno inaczej, niż jej siostra z Domrémy ale trafiłaby równie nieomylnie zarówno do źródeł mocy boskiej, jak i do serc swych współczesnych.

A potem stos — taki, czy inny — znalazłby się dla niej z pewnością — nie zabraknie pochwalnych chórów wdzięcznych stuleci...

Módlmy się więc do świętej Joanny o łaskę, zapowiadaną naiwnie przez poetę, o „son revivre autrefois"!

Bogu dzięki, cywilizacja nie doszła jeszcze tak daleko, aby wykluczyć wspaniałe niespodzianki, zasypać wieczyste ich źródło: rolę jednostki w ludzkości. Ona pozostała zawsze ta sama, tylko forma jej wciąż się zmienia. Strzeżmy się tej zabójczej, niskiej myśli, jakoby dzień nasz powszedni nie był Historją jakoby wodzowie, wieszcze, prorocy w przeszłości mieszkali jedynie.

„Biblja nie jest zamknięta — mówi Emerson dopóki nie urodzi się ostatni wielki człowiek".

A ja myślę, że w ten sposób zamknąłby się zarazem wszystek wdzięk i sens żywota.

Lecz poco roztrząsać możliwości tak straszliwe? Wszak słońce jeszcze świeci nad ziemią! Któż przewidzi, jaki cud jeszcze wyda jakieś macierzyńskie łono, to tajemne, nieświadome narzędzie przeznaczeń?..

O, Joanno — wołam z Delteil'em — jakże bardzo moją jesteś! Moją, gdyż miałam szczęście Ciebie pokochać.

Nie wątpię, że żyjesz przez stulecia nieskończone pełniej i prawdziwej, niż my, szare pyłki w pochodzie ludzkości — a jednak... oddałabym całą mądrość historji za jeden twój uśmiech żywy!

Uczą nas już dziś, że materja jest tylko złudzeniem... może gdzieś, kiedyś, rozedrze się także i zasłona czasów, abym mogła spojrzeć choć raz w Twoje oblicze, raz potrzymać Ci kornie strzemię, gdy dosiadać będziesz rumaka, w drodze ku zwycięstwom nieśmiertelnym!

KORZYSTAŁAM Z KSIĄŻEK: *Lavisse*—Histoire de France. *A. France* — Vie de Jeanne d'Arc. *G. Hanotaux* — Jeanne d'Arc *A. Lang* — La Jeanne d'Arc de M. A. France. *M. Sepet* — Jeanne d'Arc. *H. Débout* — La bienheureuse Jeanne d'Arc. *M. Peguy* — Mystere de la Charite de Jeanne d'Arc. *J. Delteil* — Jeanne d'Arc. *B. Shaw* — Święta Joanna. *K. Libelt* — Dziewica Orleańska (1847 r.) *Ks. J. Górka* — Dziewica Orleańska (1911 r.)

KONIEC

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. p. WIKTORJA MACIŃSKA

W lipcu b. r. zgasła w Łodzi wybitna działaczka na niwie oświatowej, przełożona gimnazjum żeńskiego, Wiktorja z Pętkowskich Macińska.

Jej nieprzeciętna indywidualność i prawy charakter wywierały trwały i głęboki wpływ na młodzież, którą kochała, z którą pracowała przez długi szereg lat swego czynnego żywota.

Łączyła w sobie walory umysłowe z pracowitością i szeroką inicjatywą—co sprawiało—że w dziedzinie, w której pracowała, t. zn. w dziedzinie oświaty imię jej zapisało się trwałemi zgłoskami.

Była współzałożycielką i członkinią Zarządu Stowarzyszenia Nauczycieli Chrześcijan, a potem, gdy przyszła chwila walki o szkołę polską, ś. p. Wiktorja Macińska stanęła do walki tej z odwagą i poświęceniem, widząc w zdobyciu szkoły polskiej wielkie zwycięstwo ujarzmionej i sponiewieranej przez wrogów duszy narodu.

W r. 1905 pierwsza bez wahania wprowadziła do swej szkoły język polski, co w poważnej mierze zdecydowało o postawie nauczycielstwa łódzkiego i o jego stosunku do idei unarodowienia szkolnictwa.

Swej szkole poświęcała tyle rzetelnej pracy, tyle zapału i tyle serdecznej troski, że jej umiłowane gimnazjum szybko wybiło się na czoło szkół łódzkich. Młodzieży świeciła przykładem i wpajała w nią ideę, której sama służyła, — ideę twórczej, radosnej pracy „starajcie się w każdą pracę kłaść cząstkę swej duszy,— mawiała — praca wasza stanie się żywą, pożądaną i płodną".

Oprócz wytężonej działalności na niwie szkół średnich ś. p. Wiktorja Macińska była wybitnie zaangażowana w pracy Polskiej Macierzy Szkolnej, poświęcając jej wszystkie chwile wypoczynku. Te 37 lat pracy pedagogicznej i społecznej wyczerpały jej siły. „Padła jak żołnierz na posterunku — mówiła nad jej mogiłą przewodnicząca Zarządu Głównego Koła Polek, p. Konstancja Łubieńska, „jednak sztandar nie wypadł z jej ręki. Chwyciły go krzepkie młode dłonie tych, którym zmarła przewodziła". *s.*

SPORT W ZIMIE

Jesteśmy w progu sezonu zimowego. Lada dzień lekki puch białego śniegu pokryje zieloną murawę boisk, zamilkną radosne okrzyki młodzieży ćwiczącej w pełni światła i powietrza, opustoszeją tak głośne latem od znaków życia tereny sportowe.

Oznaki te nie są jednak równoznaczne z zanikiem wszelkiej działalności sportowej. Przeciwnie, żyje ona niemniej intensywnie, choć inaczej.

Nie trzeba zapominać o tem, że sport, tak, jak wszelka inna zresztą działalność ludzka, uzależniony jest w poważnej mierze od warunków atmosferycznych. Natura sama, wprowadzając w ciągu roku znaczne zmiany temperatury, zmusza człowieka, aby życie swoje przystosowywał do tych zmian. Stąd obserwujemy zjawisko sezonowości w poszczególnych gałęziach działalności człowieka, a więc i w sporcie.

W zasadzie dzielimy pracę sportową na dwusezonową: okres letni i zimowy. Wiosna i jesień są końcem jednego i początkiem drugiego sezonu. Kraje o wysokiej kulturze sportowej nie odczuwają zresztą w tak wysokiem stopniu konieczności przystosowania się do sezonów, narzucanych przez przyrodę człowiekowi.

Dzięki odpowiednim urządzeniom w pełnej zimie ćwiczyć możemy sporty o charakterze sezonu par excellence letniego, — np. pływanie w basenach krytych, napełnianych wodą ogrzewaną, i — naodwrót, niektóre sporty zimowe uprawiać można w najbardziej słońca pełne dni lata, a więc np. ślizgawkę na sztucznym lodzie.

Fakt możności całorocznego treningu w danej gałęzi sportu posiada dla sportowców kolosalne znaczenie. Pamiętajmy, że uprawiamy sport nietylko dla zadośćuczynienia konieczności utrzymania swego ciała w stanie zdrowia, zręczności i sprawności fizycznej, co jest także zadaniem wychowania fizycznego, lecz także, a może przedewszystkiem, w celu ustawicznego doskonalenia się w danej umiejętności, w celu osiągnięcia możliwego dla istoty ludzkiej stopnia doskonałości. Hasłem sportu jest przecież nienadarmo złota maksyma wszystkich najzawziętszych, najżarliwszych prac umysłu i ducha ludzkiego; maksyma streszczająca się w słowach: dalej i wyżej.

Dlatego też, gdy mróz zetnie wszystkie soki życia w naturze, gdy gruba powłoka śniegu stworzy przesmutne złudzenie martwoty, dla sportowca rzeczą pierwszorzędniej wagi jest móc utrzymać się na osiągniętym stopniu doskonałości przez cały czas martwego sezonu zimowego, aby z wiosną nie trzeba było odrabiać straconych umiejętności, lecz posuwać się dalej.

Nie mamy, niestety, w Polsce odpowiednich po temu środków. Stolica nasza nie posiada ani jednego krytego basenu pływackiego[1]) ani krytej hali lekkoatletycznej, ani krytego toru kolarskiego. A jednak— pracować trzeba, jeśli na wiosnę nie chcemy rozpoczynać znowu od podstaw.

Dla sportowca istnieją więc tutaj dwie drogi: uprawiać któryś ze sportów zimowych, albo ćwiczyć w salach gimnastycznych (odczuwamy ich w Warszawie brak kolosalny. Kto zresztą nie zetknął się z tą bolączką?). I jedne i drugie pozwala młodzieży spor-

[1]) Praga Czeska posiada ich tylko kilkanaście.

Dalszy ciąg powieści p. t. „Jeden dzień na Maderze" zamieścimy w numerze następnym.

tującej utrzymać się na poziomie sprawności fizycznej, i jedno i drugie zatrudnia mięśnie, wymaga stałych wysiłków, trenujących zarówno, ciało jak wolę i nerwy.

W Polsce, jak wszędzie w świecie cywilizowanym, obserwujemy dwa sposoby pracy sportowej. Ci, którzy mają więcej swobodnego czasu i środki po temu, łączą obie metody: uprawiają któryś ze sportów zimowych, a zarazem pilnie ćwiczą w salach gimnastycznych.

W naszym kobiecym świecie sportowym dzieje się to samo. Trzeba jednak przyznać, że sporty zimowe w znacznie mniejszym stopniu przyciągają młodzież żeńską, aniżeli męską.

Pracą zimową pań w halach gimnastycznych zajmiemy się w oddzielnym artykuliku. Tutaj pomówimy tylko ogólnie o sportach zimowych, a więc łyżwiarstwie, narciarstwie, saneczkowaniu i hockeyu.

Sporty zimowe należą na szczęście do grupy tych ćwiczeń fizycznych, do uprawiania których nikt nie kwestjonuje kobietom prawa. Niema tu wątpliwości, że sporty zimowe są dla kobiet nietylko odpowiednie, ale nawet w najwyższym stopniu przydatne, o ile — oczywiście — uprawiane są racjonalne.

Bo, abstrahując narazie od atletycznej wartości sportów zimowych, — rozważmy sobie następujące: zima, ta — jak się wyraził dobrze jeden z literatów-sportowców — zmora składów węgla i wiecznie zabłoconych bucików, zamienia ludzi w piecuchów. Cóż dla olbrzymiej większości ludzi posiada w zimie większy czar, nad leniwe ciepło nagrzanego pokoju, słodkie rienfaire w długie wieczory zimowe, dancingi i bale w rozgrzanej, zakurzonej, przepoconej sali, w najlepszym razie — długie godziny, spędzane bez ruchu nad beletrystyką? Możnaby zaryzykować twierdzenie, że zima jest takąż zmorą bladych twarzy, zwiotczałych mięśni, zbytnio pobudzanej wyobraźni. Cudowne milczenie natury, śpiącej pod przeczystym całunem śniegu, przedziwna muzyka wiatrów, chłód, wyzywający człowieka do rzeźkości i ruchu, piękno niezmierne obrazów natury — wszystko to przechodzi mimo nas. Nie chcemy doznawać tych jedynych wrażeń, jakich nastręcza nam odwieczna moc zimy. Zima jest uważana za zło konieczne, które przetrwać trzeba z musu, jaknajmniej wysuwając nosa na piękno Bożego świata.

Spojrzyjcie uważnie w jakiś chłodny, śnieżysty dzień zimy na grupkę sportujących dziewcząt czy kobiet. Chłód pomalował im twarze w najpiękniejsze tony róż, oczom dodał gorących blasków radości życia, żywe, zręczne, swobodne, piękne niejednokrotnie ruchy ich młodych postaci, jakże odmienne są od skrępowanych poruszeń pań, otulonych w najcieplejsze futra, baczących pilnie, aby zbyt swobodnym ruchem nie utracić ciepła, jakie im daje ubranie, a nie ruch. Chciejcie zauważyć, jak hartują dziewczęta te nietylko ciało swoje na zimnie, lecz przedewszystkiem— wolę przezwyciężania chłodu, jak umieją żyć radośnie pomimo śniegu i zimna, jak wiele wrażeń daje im życie na powietrzu i słońcu, ile sił mają potem, aby pogodnie i ochotnie spełniać codzienne swoje obowiązki.

Łyżwiarstwo, to poezja ruchów. Rysujesz na szklistym lodzie przedziwne arabeski, skreślone fantazją chcenia, ruchem twej łyżwy i całej postaci.

Łyżwiarstwo — to szalony pęd wyścigu, emocja zwycięstwa, radość triumfu.

Łyżwiarstwo — to przedziwna elegancja, lekkość i piękno, tańce, w warunkach o ileż zdrowszych i piękniejszych od atmosfery balowej sali.

Narciarstwo — król sportów. Jesteś współuczestnikiem białego snu przyrody, masz do rozporządzenia cudowne piękno rozległej płaszczyzny, marzących dolin, niesamowicie tajemniczych gór. Masz wielką ciszę samotnika i piekielny chór wiatrów. Masz niewiarygodną białość niepokalania i orgję barw i tonów, szalejących na śniegu. Czujesz moc swojego wysiłku, niewypowiedzianą rozkosz zawrotnego pędu, cichą wdzięczność za całą piękność ziemskiego świata. Gra w tobie wszystkiemi tonami radość, ukochanie, pragnie nie życia. Kochasz zmęczenie, w którym marzysz znów tylko o nowych wysiłkach, nowych wrażeniach.

Saneczkarstwo — to walka o lepsze zręczności fizycznej, umiejętności technicznej z obawą niebezpieczeństwa. Wygrymasi sobie cudowne akordy na czułym instrumencie serdecznych wzruszeń. I znów— pęd, poczucie własnej mocy i zatracenia zarazem w szybkości, której opanować nie sposób, i znów — cała rozkosz iskrzącego śniegu, ożywczego chłodu, otaczającego piękna natury.

Hockey na lodzie—to fantazje świetnych łyżwiarzy, cudowna zabawa dla dzieci i dorosłych. Spróbujcie, zrozumiecie wtedy, że lód ciągnie silniej, aniżeli stolik do kart, czy przyjemne ciepło pokoju.

W artykule tym nie daję narazie żadnych wskazówek technicznych, ani ścisłych opisów poszczególnych sportów zimowych.

Chciałam jedynie przekonać czyteniczki nasze, że śnieg i lód nie są niczem gorsze od zieleni wiosennej czy letniej, chciałam, aby zrozumiały urok nieprzeparty zimowych sportów, i wielką ich korzyść dla dzieci i dla nich samych.

Oddzielnie mówić będziemy o samych sportach.

Lada dzień przecież zmora, jak chcą jedni, czar — jak twierdzą sportowcy — zimy zetnie nam wody w lòd, pokryje ziemię białemi gwiazdkami śniegu.

K. Muszałówna.

Kobieta w świecie i w domu

Z ROBOTNICY PRAWNICZKĄ.

Jedna z nielicznych kobiet w Hiszpanji, którym udało się osiągnąć stanowisko w palestrze tamtejszej, jest panna Klara Campaemer, od niedawna przyjęta w poczet obrońców sądowych hiszpańskich. Panna Campaemer rozpoczęła swoją karerjerę zawodową bardzo wcześnie, gdyż w wieku lat dziesięciu — pozostawszy bowiem po śmierci obojga rodziców bez żadnej opieki rodziny i bez środków do życia, zaczęła zarabiać na swoje utrzymanie, jako robotnica fabryczna. Jako dwunastoletnia dziewczynka uważaną już była za jedną z najzdolniejszych i najbardziej wykwalifikowanych robotnic, zarabiała też już wtedy tyle, że mogła po skończonych zajęciach fabrycznych poświęcać jeszcze godziny wieczorne na dalsze kształcenie się, czy to elementarne, czy zawodowe. Pracowała tak usilnie, że ukończyła niebawem wyższą szkołę handlową i porzuciwszy fabrykę, otrzymała st anowisko buchalterki. Nie zadowoliło to jednak am bitnej dziewczyny. Pracując w biurze, chodziła jednocześnie na kursa stenografji i obcych języków, po ukończeniu których pracowała czas jakiś jako steno-

grafistka, potem otrzymała posadę w biurze telegraficznem, wreszcie zapisała się na kursy dziennikarskie i została wkrótce potem współpracowniczką jednego z bardziej znanych dzienników hiszpańskich. Wyrobiwszy już sobie zaszczytne stanowisko w świecie dziennikarskim, panna Campaemer zamarzyła o dalszej karjerze. Miała absolutnie wszystkie warunki na to, aby być dobrą adwokatką — nie brakło jej potemu ani inteligencji, ani dobrej wymowy, ani wreszcie, co najważniejsze, wytrwałości i chęci do pracy. Zarabiając na swoje utrzymanie pracą dziennikarską, przeszła jednocześnie uniwersytet i obowiązkowe lata bezpłatnej praktyki, obecnie zaś jest już pełnoprawną obrończynią sądową. Koledzy jej jednak twierdzą, że ambicja jej nie znajdzie i na tem polu dostatecznego zadowolenia i przepowiadają jej, że niebawem zechce pokusić się o tekę ministra!

POSTĘP W SYRJI

Nawet w Syrji kobiety dążą już do równouprawnienia — tak przynajmniej twierdzi delegatka kobiet syryjskich na paryski kongres Międzynarodowego Związku Równouprawnienia Kobiet, pani Fareedeh el Akle.

„Jeszcze przed kilku laty" mówiła przedstawicielka Syryjek „kobieta, która chciałaby pracować samodzielnie na swe utrzymanie, uważaną bywała w kraju naszym za istotę pozbawioną wstydu niewieściego. Otaczała ją ogólna pogarda. Dzisiaj rzecz ma się wprost przeciwnie — kobiety nasze garną się do pracy zawodowej na każdem polu i nikt im już tego nie myśli brać za złe. Dzisiaj mamy już w naszym kraju szkoły zawodowe kobiece, w których dziewczęta nasze kształcą się na nauczycielki, lekarki, dziennikarki, urzędniczki państwowe i prywatne, sanitarjuszki etc. etc. Sprawa kobieca posuwa się też z każdym dniem naprzód — i nie wątpię, że Syrja zajmie wkrótce należne jej miejsce pomiędzy państwami cywilizowanego świata.

Dodać należy, że sama pani Fareedeh el Akle jest z zawodu nauczycielką i położyła olbrzymie zasługi na polu wychowania i oświaty w Syrji.

NAJLEPSZE MATKI

Na zjeździe Międzynarodowej Federacji Kobiet z uniwersyteckiem wykształceniem, który to zjazd odbył się w lipcu b. r. w Amsterdamie — rozważana była między innemi sprawa pogodzenia pracy zawodowej kobiecej z obowiązkami domowemi i rodzinnemi.

Dłuższe referaty na ten temat wygłosiły dwie delegatki amerykańskie, Dr. Elżbieta Baker, profesor uniwersytetu w Kolumbji, i pani Frank Gilbreth, z zawodu inżynier-technik, kierowniczka wielkiego przedsiębiorstwa technicznego w Montalair, New Jersey.

Ta ostatnia jest matką jedenaściorga dzieci, które sama wychowuje, znalazła jednak przytem dość czasu na studja naukowe, które dokończyła już po zamążpójściu, oraz na pracę zawodową, prowadzoną zrazu pod kierunkiem męża, znanego inżyniera, potem zaś, po jego śmierci, zupełnie samodzielnie. Pani Gilbreth mogła zatem z własnego doświadczenia powiedzieć uczestniczkom kongresu, jak można pogodzić pracę zawodową z obowiązkami rodzinnemi. Oto jej pogląd na tę sprawę.

„Do rozwiązania tego problematu, który stał się może jednym z najbardziej palących w dobie dzisiejszej — potrzeba koniecznie dwóch warunków: umiejętnej organizacji pracy i właściwego typu męża.

Ten ostatni warunek wyda wam się może zabawnym, ja jednak traktuję go bardzo poważnie. Przez właściwy typ męża rozumiem taki typ, który rozumie wymagania życia nowoczesnego i nietylko nie utrudnia swej żonie dostosowania się do tych wymagań, lecz z całą lojalnością dobrego kolegi przychodzi jej z pomocą zarówno w sprawach, tyczących się jej pracy zawodowej, jak i w sprawach domowych. Jeśli ten pierwszy i najtrudniejszy warunek posiadamy, reszta zależy już tylko od nas samych i naszej dobrej woli.

Tym drugim warunkiem jest organizacja pracy. Nie mam tu jedynie na myśli t. zw. taylory-zacji pracy domowej. Chodzi mi o coś więcej jeszcze— o zrozumienie właściwego znaczenia tej pracy. Ileż kobiet, umiejących sobie doskonale rozłożyć swoje zajęcia zawodowe, nie orjentuje się całkowicie w zajęciach domowych i uważa je za coś niższego, bodaj nawet upakarzającego dla ich inteligencji! Tymczasem trzeba to zrozumieć, że praca gospodarcza jest niczem innem, jak tylko jednym z rodzajów pracy inżynieryjnej, którą przecież nikomuby nie przyszło do głowy uważać za coś podrzędnego, nie wymagającego inteligencji, ani fachowego wykształcenia.

Ta sama inteligecja, te same metody, które stosowane są do budowy maszyn, obchodzenia się z nimi, utrzymania ich w czystości itp.—wszystko to powinno być stosowane do tegoż samego rodzaju zagadnień technicznych, jakiemi są: gotowanie, zmywanie naczyń, przyrządzanie kąpieli dla dziecka itd. Do rozłożenia sobie tych zajęć i sprawnego ich wykonywania przystępować winnyśmy w taki sam sposób, jak i do naszych zajęć naukowych — z taką samą uwagą, z tem samem zrozumieniem ich ważności i z tym samym zasobem wiadomości praktycznych.

Absolutną nieprawdą jest — twierdzi dalej pani Gilbreth — jakoby kobiety, pracujące naukowo, były mniej zdolna do zajęć praktycznych niż te, które się tym zajęciom wyłącznie poświęcają. Najlepszemi matkami i gospodyniami domu, jakie znam, są kobiety z uniwersyteckiem wykształceniem.

I to jest zupełnie zrozumiałe, Tylko kobieta inteligentna potrafi zorganizować naprawdę celowo i mądrze swoją pracę domową. Oczywiście — jeśli nią nie pogardza, jako czemś niegodnem siebie, i nie uważa jej za ciężki dopust Boży, jak to się często jeszcze niestety zdarza!

Bądź co bądź, zakończyła swe przemówienie pani Gilbreth — pewną jestem, że dążenie kobiet do wyższego wykształcenia nie zagraża w niczem życiu rodzinnemu. Przyszłość ludzkości leży w rękach kobierozumnych, kobiet, które nie uchylą się od obowiązków macierzyństwa jedynie dlatego, że je Bóg obdarzył hojnie pod względem zdolności umysłowych!

Z. B.

WYSTAWA WZOROWEJ BIBLJOTEKI DLA MŁODZIEŻY I WYSTAWA POMOCY BIBLJOTECZNYCH

W dniu 30/X w salach Resursy zostanie otwarta wystawa doroczna książki polskiej.

Jako dział tej wystawy będziemy mogli oglądać w tym roku wzorową bibljotekę dla dzieci i młodzieży.

Bibljoteka dziecinna na wystawie będzie zorganizowana na wzór nowoczesnych bibljotek amerykańskich. Kto widział ten mały raj, w którym dziecko czuje się, jak w swym domu, a nawet w swym własnym pokoju, czy kąciku, tego szczerze ucieszy zapoczątkowanie tej idei u nas.

Bibljoteczka amerykańska daje małemu czytelnikowi bezpośredni dostęp do książki, rozwija w nim samodzielność w dobieraniu książek, nie przymuszając do używania jej jako obowiązkowej pomocy szkolnej. Bibljotekarka jest cała na usługi dzieci. Jest informatorem i pomocnikiem, oraz kieruje pierwszemi krokami.

Dobór książek dla dzieci i młodzieży ułatwi rodzicom i wychowańcom orjentowanie się w wartościowym materjale, jaki w tym zakresie posiadamy. Wskazówki i eksponaty pomocy bibljotecznych, bibliografje, katalogi, wykresy, pomoce techniczne zachęcą i wdrożą do organizowania biblioteczek. Typ biblioteki wzorowej jest u nas mało znany. Mamy tylko biblioteki szkolne i domowe. Tu, bibljoteka obejmie służbę dla wszystkich dzieci bez względu na to, czy dziecko jest w szkole średniej, powszechnej, zawodowej, czy też kształci się w domu.

Wobec chaotycznego i skąpego czytelnictwa, jakie mamy w obecnych czasach wystawa będzie miała doniosłe znaczenie. Urządza ją Związek Powszechny Księgarzy i Wydawców Polskich w salonach Resursy Obywatelskiej na Krakowskiem Przedmieściu. Wystawa trwać będzie do 7/XI.

TEATR POLSKI

„Dzieje Grzechu“ *Stefana Żeromskiego*, układ dramatyczny i inscenizacja L. Schillera. 4 części, 43 sceny.

Eksperymentem śmiałym, może nazbyt śmiałym nazwać by się chciało usiłowania pana Leona Schillera ująć powieść Żeromskiego w ramy sceniczne. Zwłaszcza powieść taką jak „Dzieje Grzechu“, w której fabuła nie stanowi elementu głównego, a pierwiastek dramatyczny i epiczny maleją wobec potężnej liryki tego największego z autorów polskich. Liryka która przesyca niejako każdy utwór Żeromskiego jest tem właśnie co tak silnie i tak zniewalająco przemawia do nas w jego utworach. Obcując z książkami Żeromskiego czujemy ciągle obecność tego wielkiego serca, które jak nikt w Polsce może umiało objąć całokształt naszego życia i naszych krzywd. I tych politycznych, i tych ludzkich codziennych, jak los siłaczki, przesmutna dola Judymowej lub zwykła udzka niedola ojca doktora Piotra, który dla miłości syna nie waha się okradać robotników. Jednem słowem, jednym gestem umie Żeromski zbratać nas z taką biedną duszą ludzką, pokazać owe szczyty i otchłanie, które są w każdym człowieku.

Ale na to byśmy w tych duszach widzieli człowieka potrzebna nam jest ciągła obecność ich twórcy. Może zżył się z nimi tak bardzo, że żyć bez niego nie mogły, a może jest to poprostu właściwość jego przedziwnego talentu: nieporównany i subtelny obserwator niezawsze umiał przemawiać językiem stworzonych przez siebie ludzi. O ileż milsza i wytworniejsza jest Xenia gdy o niej czytamy, aniżeli wtedy gdy mówi sama od siebie. O ileż bardziej ludzkiem i kobiecem, i prawdziwem jest to co się dzieje w duszy Ewy Pobratymskiej (a o czem mówi nam Żeromski) aniżeli jej własne słowa z głębi duszy przecież wyrwane.

Djalog który prowadzą ludzie Żeromskiego to nie skrót ich przeżyć ani stanów dusz. To tylko fragment, częstokroć niedoskonały i fałszywy, bo ci ludzie są i głębsi i mędrsi od tego co im ich twórca mówić każe. Djalogi nie są najsilniejszą stroną prozy Żeromskiego. Powiedziałabym raczej, że stanowią jej stronę słabszą nie zawsze i nie w każdym utworze, ale z pewnością w „Dziejach Grzechu“.

Jest w tej powieści pewne niebezpieczeństwo zawarte już w samym tytule, tak bardzo sensacyjnym, że może stać się magnesem dla ludzi poszukujących tego rodzaju wrażeń. Jest w tej powieści dużo brutalności, a nawet trywialności, które ogołocone z liryzmu i obecności Żeromskiego paczą myśl i intencje autora.

Bo Żeromski nie chciał napisać romansu kryminalnego i nie napisał go. „Dzieje Grzechu“ zrodziły się z tego samego umiłomania Prawdy silniejszej nadewszystko, której poczęcie swe zawdzięcza „Mogiła“ i „Syzyfowe prace“ i „Pora“ i „Przedwiośnie“.

Pan Leon Schiller chciał udramatyzować powieść Żeromskiego posiłkując się wyłącznie materjałem stworzonym przez niego. Nie dodał od siebie ani jednego słowa. Z luźnych djalogów stanowiących tylko część powieści stworzył całość. Włożył w to ogrom pracy, pracy rzetelnej i trudnej, a jednak niestety, okazała się ona niewdzięczna. Kult dla Żeromskiego kazał panu Schillerowi operować tylko słowami mistrza, i właśnie tem wyrządził krzywdę jemu i jego utworowi. W interpretacji Schillera uwypukliło się wszystko co było w „Dziejach Grzechu“ brutalnego, trywialnego, co stanowiło treść pozorną. Treść istotna, treść przepojona liryzmem Żeromskiego zgubiła się w tem „wykrawaniu“ djalogów. Zmienił się także punkt ciężkości powieści. Za dużo słyszeliśmy ze sceny o panu Bodzancie, zamało dowiadujemy się o Ewie, o tej grzesznicy, której cudowna i tragiczna piękność stała się jej fatum. Niepostrzeżenie dokonała się na scenie przemiana Ewy z dziewczyny niewinnej i przepalonej radością życia w kobietę miłującą, w grzesznicę, której jedynym grzechem była Miłość.

Przeróbka pana Schillera robi wrażenia próby zilustrowania „Dziejów grzechu“ obrazami i żywem słowem. Coś jakby skrócony i zubożały kinematograf, bo efekt prawie kinematograficzny robiły te czterdzieści trzy sceny, które nam przesunięto przed oczyma. Sztuka teatralna wyszła tu poza swoje możliwości, i dlatego premjera „Dziejów grzechu“ była w Teatrze Polskim dniem tryumfu Schillera — rezysera, ale nie dramaturga. Były to „Dzieje grzechu“ nowe, opowiedziane słowami Żeromskiego. Ci którzy nie czytali tej książki — a takich jest w Polsce mało, nie dowiedzą się o niej niczego. Tym którzy ją znają — ta ilustracja nie była potrzebna.

Z punktu widzenia reżyserskiego osiągnął pan Schiller sukces zupełny. Dużo pomógł mu w tem pan Frycz, którego dekoracje przedziwnie wnikały w intencje autora i były naprawdę — co się tak rzadko niestety zdarza!—tylko dopełnieniem tekstu, a czasami tłem niezapomnianem. Nie mógł jednak i on uratować tego co z Żeromskiego zatracił p. Schiller.

Olbrzymią rolą Ewy kreowała pani Modzelewska. Młodziutka ta aktorka wykazała prawdziwy talent dramatyczny i nieprzeciętną inteligencję, nie zdołała jednak stworzyć postać jednolitej i równej Może niedość też wniknęła w istotę psychiki Ewy, zabardzo oparła się na jej słowach, i przez to zatraciła w pierwszych scenach to co było urokiem Ewy: jej promienną radość życia. Miała jednak Ewa pani Modzelewskiej akcenty prawdziwego ludzkiego bólu i uczucia i tem uratowała swoją kreację. Boelke był Niepołomskim poprawnym, ale nic ponad to.

Pan Samborski pojął Pochronia niesłychanie zgodnie z intencjami Żeromskiego. I on zawinił zbytniem oparciem się na słowach Pochronia.

Natomiast Hrabia Płaża-Spławski Stępowskiego jest kreacją głęboko i subtelnie wyczutą i przemyślaną.

Z innych wykonawców wyliczyć musimy: p. Słubicką (matka) pp.: Stanisławskiego (Pobratymski) Gawlikowskiego (redaktor), Nowakowskiego (Bodzanta), Fritschego (Horst), wspólnym ich wysiłkom jednak nieudało się wskrzesić Żeromskiego. Całość nabiera wrażenia widowiska interesującego jedynie techniką teatralną. *Z.P.*

1022
1023
1024.

1026
1028
1025.
1027
1029.

1031
1033
1030.
1032.
1034.

1035.

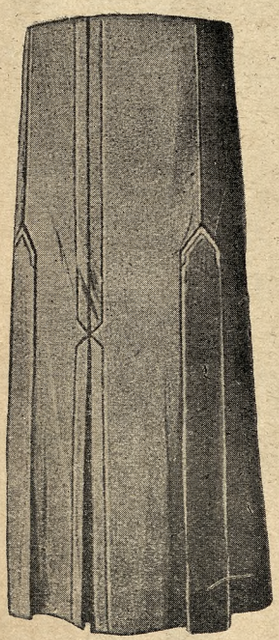

1036.

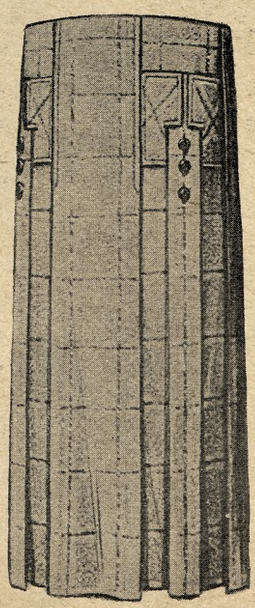

1037.

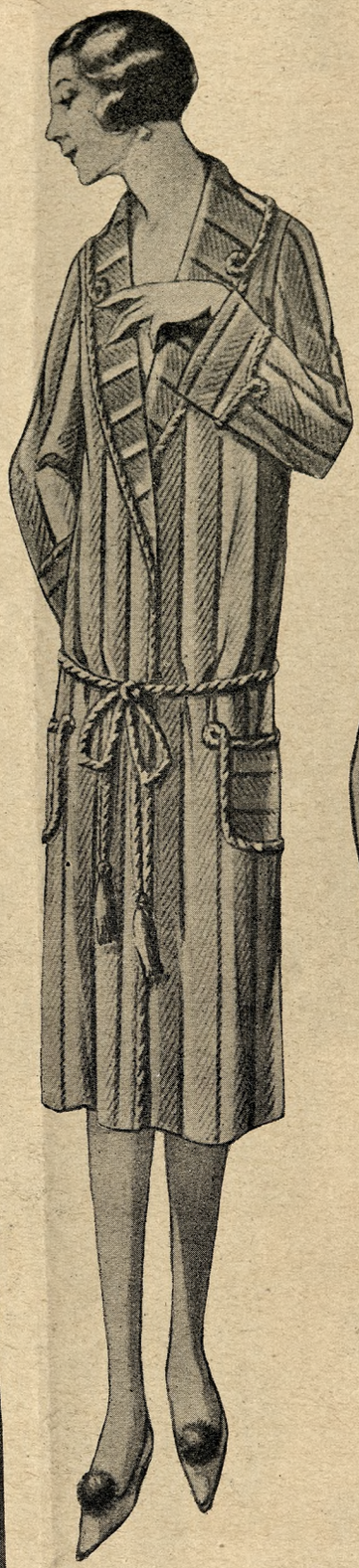

1038.

1039.

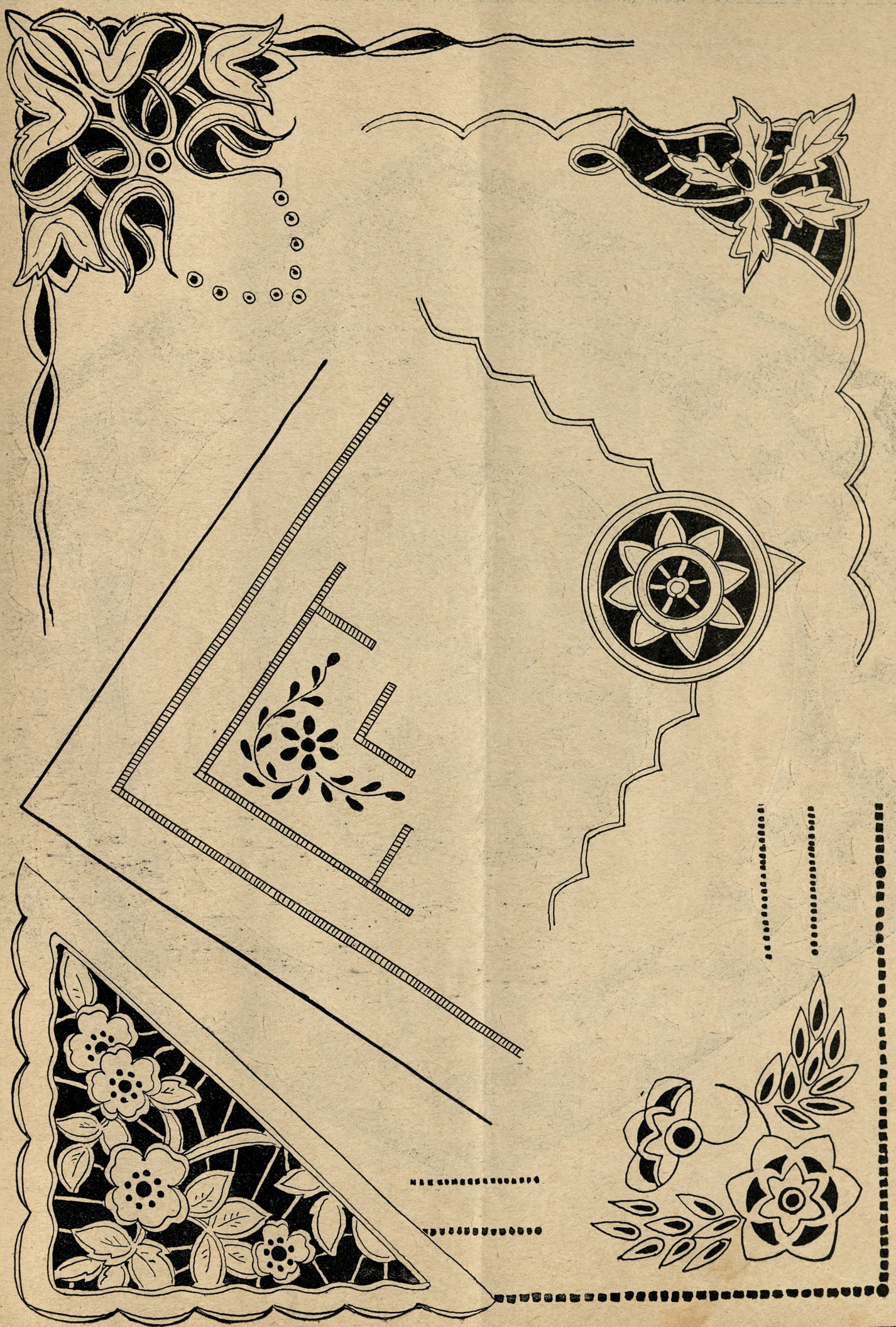

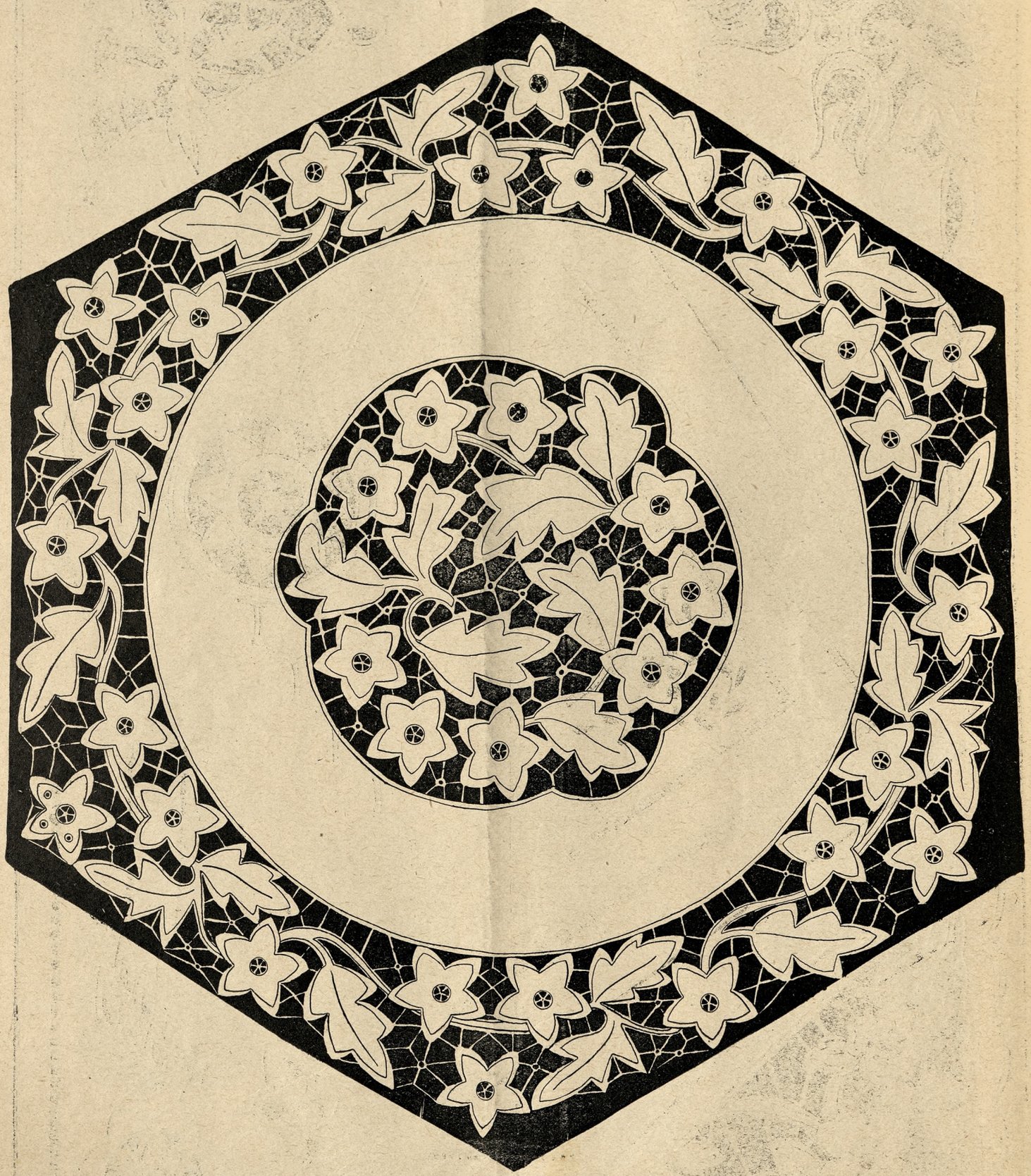

WORECZEK NA LORNETKĘ

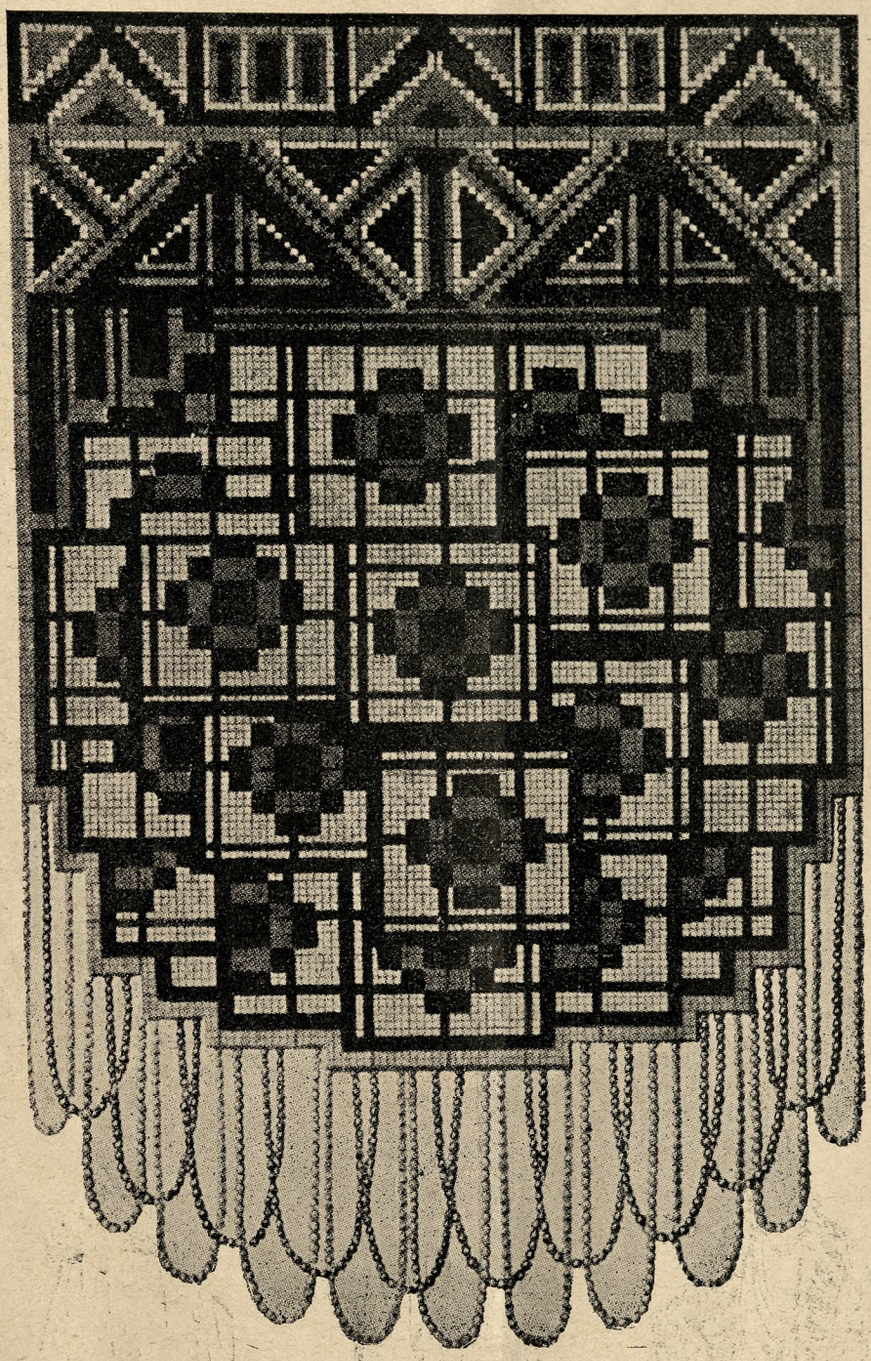

Woreczek, wykonany z jedwabiu cienkiem szydełkiem, robi się w kółko, ciągle po jednej stronie. Sposób wykonania: zrobić 22 cm. długi sznureczek z jedwabiu oczkami łańcuszkowemi (wzór powiększony rys. 1.) złączyć, czyli zamknąć łańcuszek w kółko. Na podstawie oczek łańcuszkowych robić rząd półsłupków, lub ścisłych oczek, zależnie od grubości jedwabiu (wzór powiększony rys. 2.), powtarzać ciągle ten sam ścieg (wzór powiększony rys. 3.), zahaczając oczka o tylną nitkę poprzednich oczek. Deseń otrzymujemy zapomocą zmiany kolorów. Ściegi oznaczone jasnopopielato robi się kolorem pomarańczowym, popielato-jasno zielonym, ciemno popielate—ponsowym, a czarne — fiołkowym.

Można zestawić inaczej kolory np. jasno niebieski, ciemno niebieski, różowy ciemny (vieux rose) i czarny, albo niebieski, żółty, pomarańczowy i czarny i t. p. Rozumie się, że trzeba mieć tyle kłębków jedwabiu, ile mamy kolorów w woreczku. Rozpoczynając robotę następnym kolorem, zostawia się poprzednią nitkę nieurwaną w spokoju dopóty, dopóki jej kolej nie wróci i tak ciągle przeciągając, ale nie ucinając nitki, robi się kolorami robotę wkoło po prawej stronie, aby przeciągane nitki zostając po lewej stronie, uformowały rodzaj barwnej podszewki, wzmacniającej i zdobiącej bardzo woreczek. Ilość oczek do zrobienia w każdym kolorze łatwo obliczyć można podług kwadracików oznaczonych na deseniu.

Robotę na szerokości 22 cm. robimy aż do wysokości 10 cm., następnie zmniejszamy, gubiąc 6 oczek z każdej strony i tę szerokość robimy na 1 cm. wysoko, poczem znów gubimy po 6 ocz. z każdej strony i tak dalej, jak to rysunek wskazuje.

Do tej roboty można dodać trochę paciorków, nawłócząc je poprzednio na jedwab i wrabiając w miarę życzenia w oczka. Górę woreczka wszywa się we wstążkę, przez którą przewleka się sznureczek ukręcony z jedwabiu w kolorach woreczka. U dołu woreczka robi się frendzlę z paciorków, o ile wrabialiśmy je w deseń, w przeciwnym razie można zrobić frendzlę z samego jedwabiu.

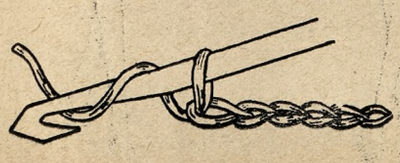

rys. 1.

rys. 2.

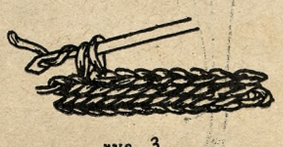

rys. 3.

LIST Z PARYŻA

Z nadsekwańskiego grodu płynie ku nam powiew dyskretnych nakazów. Niczego nam nie zabraniają wprawdzie w tym roku, na nic nie kładą specjalnego nacisku, a jednak są nuance'e, które modę dzisiejszą wyodrębniają i dają jej urok nowości.

Na czem polega ta nieuchwytna różnica? W pierwszej linji na delikatnem usunięciu ze stopni tronu zuchwałej damy dworu, która przez przeciąg lat ostatnich tyranicznie narzucała nam swoją władzę. Oto nie zdegradowano jeszcze przywykłej do rządów i wywierania przemożnego na nas wpływu, pani, co pod mianem „modess portive" sprawowała surowe rządy, ale usunięto ją lekko, leciutko— na drugie miejsce. Niema takiej siły, która kazałaby nam dzisiaj nosić wieczorowe jumper'y i tańczyć w godzinach poobiedniej herbaty w swetrach, gdyby one nawet były z nitek pozłocistych plecione. La mode sportive w uznaniu swych niezaprzeczonych zasług, z wdzięczności za tchnienie swobody i prostoty, jakie wniosła w świat naszej garderoby — mianowana jest ministrem możnym jeszcze, ale już niepiastującym władzy prezesa tualetowego gabinetu. Widujemy ją w rannych godzinach, jak spaceruje po jesiennym liściem zasłanej alei Lasku Bulońskiego, gonimy za nią przychylnem okiem, gdy wdzięcznie wspiera się o poduszki eleganckiego auta, uśmiechamy się do niej w wagonie restauracyjnym, na jachcie, podziwiamy jej miłą prostotę i swobodę przy golfie, tenisie, hockey'u, wzorować się na niej będziemy odziewając się w ciepłe trykoty i kurty futrzane, gdy zimowych sportów nadejdzie era, ale oto i koniec jej panowania — podróż, sport, ranna przechadzka — nic więcej.

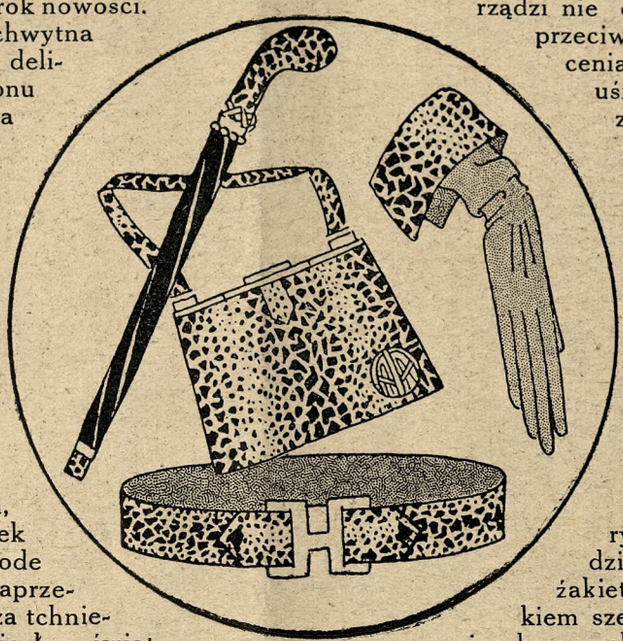

Kto nie zna przykazań i statutów, jakiemi się rządzi nie czytał, łatwo wykroczyć może przeciwko należnemu uznaniu, nie doceniając dyskretnego wdzięku jej uśmiechów. Wszechwładny trykot zastąpi skóra. Sygnalizują już dzisiaj rodzaj żakietów z miękko wyprawnego zamszu, które pozbawione rękawów będą czemś ślicznem i nowem, czemś podobnem do sportowej kurtki i kamizelki równocześnie. Sportowe sukienki aplikować będziemy, trykotem, fantazyjnemi tkaninami, skórą, wreszcie płaskiem futrem o bardzo króciutkim włosie, kostjumy tak zwane tailleur, wykonane są dzisiaj nie z materjału, a ze skór żrebięcych, którym nakaz chwili umiał dać przedziwną elastyczność i miękkość, żakiety, palta i suknie spinamy paskiem szerokim ze skóry cielęcej. Unikając barwnych haftów, pozwolimy sobie jednak podkreślić skromną prostotę sportowych szatek nitką w stalowym, lub srebrnym tonie, którą wyszyjemy kilka zaledwie dużych ściegów.

W samochodzie, powozie, czy wagonie, narzucimy na kolana pled z tkaniny, z jakiej zrobione jest nasze podróżne palto, lub z gładkiego sukna, na którem aplikowane będą motywy utrzymane w tonie i kolorycie okrycia. Jeżeli od chłodu chronić nas będzie płaszcz z gładkiego materjału, a pled zjednoczy w sobie gamę barw i cieni dyskretnych, ka-

wałkiem takiej samej materji wykończymy szal co otuli nam szyję.

Palta przeznaczone do rannych pieszych spacerów i do drogi musimy mieć obowiązkowo z gładkiego miękkiego materjału podbite futrem o krótkim włosie — najodpowiedniejsze po temu będą bielistki, bibrety, kozy tybetańskie, futra lamparcie, żyrafie, skóry z gazeli, popielice, zwykłe wiewiórki, łasice, wreszcie skromne króliki, z których kunszt kuśnierski kreuje śliczne imitacje. Kołnierze wykonywane są z futer puszystych o długim włosie, jak skunksy i lisy.

Sukienka przeznaczona na poobiednie godziny, odbiega od surowego i przesadnie skromnego typu lat ostatnich, jest nietylko bardziej strojna i wyszukana, ale niejednokrotnie zrobiona z lamy o spokojnym kolorycie. Jeżeli chodzi o skromniejszą szatkę chętnie wykonamy ją w granatowym kolorze z dodatkiem perłowej kamizelki, kołnierzyka i mankietów, który to kolor z ciemno granatowym łączy się dzisiaj częściej niż biały. Suknie wieczorowe, to kraina, którą rządzi fantazja. Feeryczne lśnienia paillette, strassów, matowa połyskliwość pereł walczą tu o lepsze. Z barw — gorąca purpura, blady błękit, biel i połączenie czarnego z białym walczą o palmę pierwszeństwa.

Wynalazkiem chwili jest efekt jaki wywołuje kolor bordo w zestawieniu ze sztucznem światłem, aksamitne suknie wieczorowe utrzymane w tym tonie, modnie drapowane i podpięte dużym pękiem fiołków są ostatnim wyrazem szyku, jak również jedwabne muśliny i koronki farbowane na gorący purpurowy kolor.

Patou lansuje kostjumy ciemno-ponsowe, w dobieraniu odcieni których stał się prawdziwym mistrzem. Vionnet szczyci się bladym błękitem znaczonym strassami w gwiezdne szlaki, które są prawdziwą ozdobą bogatej kolekcji jego sukien wieczorowych.

Reasumując — wieczorem spotykać będziemy mniej sukien z lamy, za to płaszcze złote i srebrne. Dużo sukien koronkowych i z jedwabnego muślinu dekold dyskretny o linji skośnej, ramiączka z kwiatów. Pailletty i błyszczące hafty zdobią suknie balowe. Suknie aksamitne będą bardzo modne, tak świetne barwą, jak i ciemne, spotykać się będzie zestawienie białej lub jasnej góry wykonanej z jedwabnego muślinu, haftowanej materji, crepe satin, wreszcie z białej lamy przetykanej nitkami o pastelowem zabarwieniu — dół z czarnego aksamitu fantazyjnie drapowany, z fałdą umieszczoną z przodu, dłuższą, lub krótszą od całości.

Frendzla to dzisiaj dernier cri! Stosują ją wszystkie najpierwsze świątynie mody, oszywając niemi bolera rzucone na tło luźnych sukien empire'owych, skromnych, czy też wizytowych i balowych — Drecoll lansuje frendzlę kauczukową sutą, a miękką i ślicznie się układającą. Prócz frendzli do ciekawych i efektownych nowości należą bluzki plecione na wzór dawnych rycerskich koszulek drucianych z elastycznej złotej nitki — formują one strojne, śliczne, pełne prostoty, a przytem przepychu casaques. Wprowadziła je firma Jenny, powitane entuzjastycznie, przyjęły się w jednej chwili.

Kolory najmodniejsze to: madera (tak zwany lie de win), corynthe, ciemny granat, błękitny, czarny i biały. Bois de rose używany jest jeszcze w dziedzinie podróży i sportu, o różowym mówi się w świątyniach mody „qu'il fait déplorablement année derniére", to też skreślono go prawie zupełnie z listy. Najmodniejszem zestawieniem jest kolor granatowy z perłowym i czarny z białym.

Mówiąc o modzie tegorocznej, trudno wogóle ująć ją w jakieś zdecydowane ramy. Spotykamy się z chaosem najrozmaitszych kreacyj, z niezliczonym szeregiem ślicznych nowych drobnostek, z pojedyńczemi przejawami inicjatywy, z których jedna zbija drugą, z wyraźnem przechyleniem się ku linji prostej, która nie wyklucza jednak szerokiego obwodu sukien.

Faktycznie trudno zorjentować się wśród tylu nowych kierunków, a obranie właściwej drogi pozostawić trzeba niezawodnej intuicji kobiecej, która znając swój typ będzie umiała zrobić szczęśliwy wybór.

W nowych kolekcjach uwydatnia się przedewszystkiem linja szerokiej luźno w pasie wyrzuconej góry i wąskiego, obcisłego dołu. Pojawia się też często małe proste bolerko zlekka ku tyłowi wydłużone, przeciwko któremu broniłyśmy się długo i skutecznie, a które w końcu przyjmować się zaczyna w tym sezonie nie na żarty, zdobywając sobie opinję ślicznej i pełnej wdzięku nowości.

Linja tak zw. „blousante" sprzyja usiłowaniom jakie przejawiają się coraz wyraźniej, usiłowaniom wrócenia do normalnej linji pasa. Spódniczki strojne są zazwyczaj ujęte z przodu w fałdę, lub draperję, suknie wieczorowe fantazyjnie układane są z przodu i z tyłu wydłużone w ząb spadający poza obręb długości całej sukni, wycięte z przodu półokrągło — z tyłu w długi, głęboki szpic. Modne też jest wycinanie plców półokrągło i podkładanie tegoż wycięcia blado-różową georgette'ą, lub jedwabnym muślinem. W dziedzinie futer najwięcej noszone będą karakuły koloru popielatego i bronzowego, albo też futra farbowane do cieniu.

Wśród negliżów pyjama zdobyła sobie trwałą i nienaruszalną sławę. Starano się podkopać jej autorytet pomawiając o zacieranie linji kobiecego ciała, nic jednak nie zdołało osłabić wierności jaką zaprzysięgły jej paryżanki. Zmienia ona od czasu, do czasu kształt, składa się jednak zawsze i niezmiennie z dwóch części, t. j. obcisłych, lub bufiastych majteczek i kokieteryjnej, wymyślnej, to skromnej i prostej, to pełnej przepychu bluzy, wykonanej z wzorzystej, lub gładkiej o świetnym kolorycie materji, często haftowanej, a nawet ręcznie malowanej, czy batikowanej.

Bielizna niezmiennie kolorowa z crêpe de chine'u o kształtach wybitnie miniaturowych, zdobna ciemno kremową koronką, lub ręcznym haftem utrzymanym w kolorze całości. Ładnemi zestawieniami, jeżeli łączyć kto chce dwa kolory—będą: różowy ze srebrzy-

stym, lub koloru lie de vin haftem, niebieski z niewarowym, champagne z szafirem, słomkowy z bladolila etc.

Do modnych drobiazgów zaliczają się kwiaty z kauczuku kolorowego o przedziwnie ciepłym kolorycie i matowej połyskliwości żywego kwiatu, oraz kwiaty wykonywane z barwnych piór o pastelowych tonach. Do sukien strojnych noszone są woreczki t. zw. pompadour przeważnie aplikowane barwnie na podłożu z ciemniejszego jedwabiu, lub lamy. Woreczki takie zdobi się błyszczącemi guzikami wysadzanymi strassami. *Noémi.*

WRAŻENIA Z WYSTAWY „KULTURA CIAŁA I STROJU"

Wychodząc pod bardzo dobrem wrażeniem z otwarcia wystawy „Kultura Ciała i Stroju" usłyszałam w grupie znajomych zdanie, które mnie zastanowiło. Poważny, siwowłosy pan mówił z oburzeniem: „Cóż to jest za wystawa? To poprostu zbiorowisko firm konkurencyjnych, które się usiłują wzajemnie przereklamować". To zdanie nabiło mi takiego ćwieka w głowę, że zagapiona omal nie wpadłam pod przejeżdżające auto. Ostatecznie po głębszem zastanowieniu się doszłam do przekonania, że wystawa nie może być niczem innem, jak właśnie zbiorowiskiem firm, które konkurując ze sobą starają się wydać jaknajlepiej i zaprezentować publiczności swoje najlepsze towary. Jest to istotnie najlepszy i najnowszy sposób reklamy, gdyż publiczność ma do czynienia nie z szumnem ogłoszeniem na łamach poczytnego dziennika, a może osobiście obejrzeć, sprawdzić i porównać wystawione eksponaty. Firmy konkurujące zmuszone przedstawiać zwiedzającej publiczności „fakty a nie reklamy" zmuszone są dawać najlepszy gatunek za najniższą cenę. Publiczność ma za arcyprzystępną cenę (złoty jeden) możność obznajmienia się ze stanem przemysłu z danej branży, porównania i zastanowienia się przed ewentualnem kupnem, no i spędzenia godzinki czasu w estetycznem otoczeniu, napicia się herbaty, słuchając dobrej orkiestry, amatorzy tańca mają dancing, parę razy dziennie odbywają się produkcje rytmiczno-plastyczne, pokazy mód i t. d. Słowem nikomu nie dzieje się krzywda.

Ale jest u nas, w samym charakterze narodu, jakiś element wiecznego niezadowolenia, wieczystej pretensji, że coś nie jest takie jak się je sobie wyobrażało. Sądzę, że to może dlatego, że jesteśmy narodem podświadomych artystów i poetów, że każda usłyszana przez nas nazwa, każde słowo, budzi w naszej wyobraźni fantastyczne obrazy, którym żadna rzeczywistość nie jest w stanie sprostać. Przychodzimy i stajemy rozczarowani. „Jakto tylko tyle" A czego się państwo właściwie spodziewali? — Nie wiemy, ale wyobrażaliśmy to sobie jakoś wspanialej, inaczej... Ta nieunikniona przy każdej realizacji marzenia, rozmowa odbywa się u nas niestety przeważnie w dużo mniej kurtuazyjnej formie. Teraz co do wystawy. Rzeczywiście niema tu ani boiska olimpijskiego, ani łaźni rzymskiej, ani żadnych innych rzeczy, które bujna wyobraźnia mogła podszepnąć osobom nieobznajmionym z lokalem Doliny Szwajcarskiej. Natomiast są pokazy lekkoatletyczne, sokolskie i produkcje taneczne uczennic ze wszystkich warszawskich szkół rytmiki i plastyki.

Jest poradnia kosmetyczna, gabinet fryzjerski, manicure, pédicure i wszelkie środki kosmetyczno-higjeniczne, w jakie nasza stolica bogata, zaczynając od mydła i wody kolońskiej kończąc na pudrze i tajemniczych kremach piękności. Gumowy wałek do automasażu, zabawnie przypominający walec do ciasta, ściąga uwagę licznych pań co to „się boją utyć i tu i tam". Stand'y projektowane przez artystów malarzy, przedstawiają harmonijną całość. Parę wnętrz pełnych batikowych abażurów, pstrych poduszek i prześmiesznych szmacianych lalek, zamieszkują również żywe manekiny, w modelowych toaletach zastygłe w niemal absolutnym bezruchu. Bardzo bogaty dział trykotaży ręcznych i maszynowych. Stand'y z trykotażami, obok kilku firm handlowych, mają i dwa towarzystwa filantropijne. Jedno wystawia ręczne roboty nowym systemem p. Witkowskiej, drugie wzru. szające owoce pracy ślepych inwalidów wojennych.

Boję się zanadto rozpisać o tkaninach jedwabnych, metalowych koronkach, bowiem mają one dla mnie tak fascynujący urok, że ilekroć o nich wspominam wpadam w mimowolną przesadę. Tym razem wezmę się w karby i powiem poprostu, że są bardzo piękne.

To chyba nie zadużo. Tak samo muszę się nawoływać do wstrzemięźliwości, pisząc o tych arcydziełach z brokatu, lamy, haftu i strass'ów jakiemi są współczesne pantofelki. Jest ogromna rozmaitość kapeluszy. Poczynając od skromnych a wielce szykownych filców, kończąc na wieczorowych fantazjach ze złotej koronki i rajerów. Wieczorowe pokazy mód demonstrują oryginalne modele paryskie, takich mistrzów igły, jak. Poiret, Patou, Lelong, Irfé i t. d. Rozmieszczone na sali eksponaty naszych firm konkurują z niemi z zupełnem powodzeniem. Perfumy, sztuczne perły i przepiękne, wysoce artystyczne kwiaty z aksamitu, jedwabiu i lamy ciągną ku sobie zachwycone oczy, budząc nieodpartą pokusę kupna. Taka jest wystawa,. I za taką należy się organizatorom dobre słowo. Albowiem wystawy, jak wszelki „ruch w interesie" w naszych czasach zastoju są objawem dodatnim i pożądanym, i nie należy mrozić celowych poczynań chłodem, nieraz nieuzasadnionych krytyk i pretensyj. „A myśmy to inaczej sobie wyobrażali". *Well.*

POLSKA WSPÓŁCZESNA

Rozdział V konstytucji traktuje o obowiązkach i prawach obywateli. Stanowi on przedewszystkiem, iż obywatel polski nie może być równocześnie obywatelem innego państwa, że obywatelstwo polskie nabywa się — przez urodzenie z rodziców obywateli polskich, względnie przez nadanie ze strony powołanej władzy państwowej oraz że cudzoziemcy używają równych praw i mają równe obowiązki z obywatelami polskiemi, o ile ustawy wyraźnie nie wymagają obywatelstwa polskiego, a także o ile obywatele polscy w ojczyźnie danego cudzoziemca korzystają z praw podobnych.

Następnie konstytucja przystępuje do określenia podstawowych obowiązków obywatelskich i stanowi, że obowiązkami temi są: przedewszystkiem wierność dla Rzeczypospolitej, a następnie obowiązek szanowania Konstytucji i obowiązujących praw, obowiązek służby wojskowej, który zostanie bliżej określony w drodze ustawodawczej, obowiązek szanowania władzy prawowitej, ułatwiania spełniania jej zadań i obowiązek sumiennego pełnienia obowiązków publicznych, oraz obowiązek wychowania swoich dzieci na prawych obywateli Ojczyzny i zapewnienia im conajmniej początkowego wykształcenia. Ponadto Konstytucja ustanawia przymus szkolny, w zakresie szkoły powszechnej, gwarantując jednocześnie bezpłatność nauki w tej szkołach.

Reszta rozdziału V poświęcona jest określeniu praw obywatelskich: Są one ujęte bardzo obszernie i nowożytnie. Żadna inna Konstytucja tyle i tak wyczerpująco o tym dziale nie mówi. Przedewszystkiem więc Rzplita Polska zapewnia na swoim obszarze ochronę życia, wolności i mienia wszystkim bez różnicy pochodzenia, narodowości, języka, rasy lub religji. Wszyscy obywatele są równi wobec prawa. — Urzędy publiczne są dostępne w równej mierze dla wszystkich. — Rzeczpospolita nie uznaje, przywilejów i tytułów za wyjątkiem państwowych, urzędowych i zawodowych. — Przyjmowanie tytułów lub odznaczeń cudzoziemskich uwarunkowanem jest zezwoleniem Prezydenta Rzplitej.

Rewizja osobista i aresztowanie dopuszczalne są w zasadzie, tylko, na podstawie polecenia władz sądowych. O ileby polecenie władz sądowych nie mogło być wydane natychmiast, to powinno być doręczone najpóźniej w ciągu 48 godzin. Aresztowani, którym w przeciągu 48-miu godzin nie podano na piśmie przyczyny aresztowania — z podpisem władzy sądowej, odzyskują niezwłocznie wolność. Środki jakie mogą stosować władze administracyjne dla przeprowadzenia swoich zarządzeń, określone zostaną w drodze ustawodawczej.

Nikt nie może być pozbawiony sądu, któremu z prawa podlega. Sądy wyjątkowe, mogą być wprowadzone tylko w drodze ustawy. Wymierzenie kary musi być oparte na zasadzie obowiązującej ustawy. Kary nie mogą orzekać jakichkolwiek udręczeń fizycznych. Żadna ustawa nie może obywatelowi zamykać drogi sądowej dla dochodzenia krzywdy i straty.

Prawo własności uznane jest za jedną z najważniejszych podstaw ustroju społecznego i porządku prawnego. Ochrona mienia jest zapewniona. Zniesienie i ograniczenie własności dopuszczalne jest tylko ze względów wyższej użyteczności, na podstawie ustawy i za odszkodowaniem.

Ograniczenie prawa władania i użytkowania do pewnych rodzai dóbr, ze względu na pożytek ogółu, może wprowadzić tylko ustawa. Jedynie obrót ziemią należeć ma zasadniczo do Państwa, na podstawie specjalnych ustaw — lecz z uwzględniem zasady, że ustrój rolny Rzplitej, ma się opierać na gospodarstwach rolnych, zdolnych do prawidłowej wytwórczości i stanowiących własność osobistą.

Zapewniona jest nietykalność mieszkania. Naruszenie tego prawa może być dokonane tylko na podstawie wyraźnego upoważnienia ustawowego, lub na podstawie polecenia władz sądowych.

Obywatele mają wolność obrania sobie na obszarze Państwa miejsca zamieszkania i pobytu, posiadają wolność przesiedlania się i wychodztwa, a także wolność wyboru zajęcia i zarobkowania, ora z przenoszenia swej własności. Praca obywateli, jako głów na podstawa bogactwa Państwa, pozostaje pod szczególną ochroną. W razie braku pracy, choroby, nieszczęśliwego wypadku i niedołęstwa, obywatel ma prawo do ubezpieczenia społecznego. Również dzieci zaniedbane przez rodziców, mają prawo do opieki i pomocy Państwa, a praca nocna i nadmierna dzieci, oraz kobiet, jest zakazana.

Konstytucja gwarantuje prawo swobodnego wyrażania myśli i przekonań, wolność prasy, oraz tajemnicę listów i korespodencji.

Obywatele posiadają prawo, pojedyńczo lub zbiorowo, wnosić petycje do ciał i władz publicznych, posiadają ponadto prawo koalicji, zgromadzania się i zawiązywania stowarzyszeń i związków. Badania naukowe i ogłaszanie ich wyników jest wolne, każdy obywatel ma prawo nauczania, skoro uczyni zadość wymaganiom ustawy, w zakresie kwalifikacji nauczycieli, bezpieczeństwa dzieci i lojalnego stosunku do Państwa.

Obywatele należący do narodowości niepolskiej, winni mieć zabezpieczony w drodze ustaw pełny i swobodny rozwój ich właściwości narodowych przy pomocy autonomicznych związków mniejszości, w obrębie samorządu powszechnego. Obywatele ci mają równe z obywatelami — polakami, prawo do zakładania, nadzoru i zawiadywania własnym kosztem — zakładów dobroczynnych, religijnych i społecznych, szkół i zakładów wychowawczych — oraz używania w nich swobodnie swej mowy i wykonywania przepisów religji.

Obywatele mają zapewnioną wolność sumienia i wyznania. Każdy ma prawo wyznawania zarówno prywatnie jak publicznie swej wiary, i wykonywania przepisów religijnych, o ile tylko nie sprzeciwiają się porządkowi publicznemu i nie nakazują uchylenia się od spełniania obowiązków obywatelskich. — Wszystkie kościoły rządzą się same własnemi ustawami, które mają być uznane przez państwo — o ile nie zawierają postanowień sprzecznych z Prawem. Kościół Rzymsko-Katolicki zajmuje w państwie naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań, — a jego stosunek do Państwa, jest ustalony na podstawie układu ze Stolicą Apostolską. Nauczanie religji w szkołach jest obowiązkowe, a nadzór nad tem nauczaniem należy do właściwego Związku religijnego.

Wreszcie obywatel ma prawo do wynagrodzenia za szkody i straty, jaką mu wyrządziły organy władzy państwowej, cywilnej lub wojskowej — przyczem odpowiada zarówno państwo jak i urzędnik, który szkodę zawinił. Wystąpienie w takich sprawach ze skargą nie jest uzależnione od zezwolenia władzy publicznej,

Niektóre z omówionych praw mogą być zawieszone na pewien przeciąg czasu i dla określonego terytorjum — na podstawie zarządzenia Rady Ministrów, wydanego za zezwoleniem Prezydenta Rzplitej, a podlegającego sankcji Sejmu. W szczególności w tym trybie mogą być zawieszone prawa: wolności osobistej, nietykalności mieszkania, wolności prasy, tajemnicy korespondencyj, oraz prawa koalicji, zgromadzania się i zawiązywania stowarzyszeń. Takie czasowe zawieszenie swobód obywatelskich — nosi nazwę stanu wyjątkowego — lub stanu wojennego.

Rozdział VI i Rozdział VII Konstytucji zawiera postanowienia dotyczące zmiany Konstytucji, oraz postanowienia przejściowe — normujące stan prawy do czasu zupełnego wejścia w życie wszystkich postanowień Konstytucji. W myśl tych postanowień — Konstytucja może być zmieniona przez ciała ustawodawcze, tylko w obecności przynajmniej połowy ustawowych członków danej Izby, większością $^2/_3$ głosów. Wniosek o zmianę Konstytucji ma być zapowiedziany najmniej na 15 dni i podpisany przez $^1/_4$ ustawowej liczby posłów.

Wyjątkiem od tej zasady jest postanowienie, iż drugi z rzędu wybrany Sejm, może dokonać zmian i rewizyj Konstytucji, większością $^3/_5$ głosów przy obecności $^1/_2$ posłów, oraz, że co lat 25 ustawa Konstytucyjna powinna być rewidowana i ewentualnie zmieniana — wolą zwyczajnej większości Zgromadzenia Narodowego — powstałego z połączenia się Sejmu z Senatem.

Konstytucja obowiązuje od chwili jej ogłoszenia, a w tych jej postanowieniach, które uzależnione są od wydania osobnych ustaw — od chwili ogłoszenia tych ustaw.

O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

REWOLUCJA

Zanim po raz pierwszy opadł ze zgrzytem nóż gilotyny, ginąca wielka sztuka wydała wspaniały kwiat, już owiany ożywczemi promieniami klasycyzmu, lecz jeszcze całkowicie przynależny staremu okresowi. Historja to nazywała stylem Louis XVI.

W rozbawiony i hulający tłum, bez zasad i celów, z hasłem „après nous le deluge“ rzuca pan Jean Jacques Rousseau swoją wielką ideę powrotu do natury, uproszczenia życia, obudzenia serca. Przyjęto ją z aplauzem, jako nową rozrywkę. Jedynie literatura była posłuszna jego wezwaniu. Wielki świat przystosował je całkowicie do swoich przyzwyczajeń i wymagań. A więc zmieniono krój toalety i uczesanie. Zmieniono układ parku, stwarzając zamiast sztywnych, geometrycznych parterów, wdzięczną, chaotyczną gmatwaninę zarośli, alei, pełną niespodzianek: domków, chatek, owych nędznych lepianek wewnątrz których były pyszne salony urządzone z niesłychanym zbytkiem, wyłożone marmurem, porcelaną, lub kobiercami, — pełną strumieni, świątyniek i sztucznych wodospadów. Księżniczki i markizy spacerują po trawnikach pasąc wymyte i wyczesane owieczki, doją kozy przez jedwabne rękawiczki, słuchają słowików... kwitnie zabawa w sielankę. Zmieniono umeblowania salonów na nowe niby prostsze a stokroć piękniejsze, misterniejsze, doprowadzone do szczytu sztuki stolarskiej. Znów mamy meble wyłącznie salonu, salonu-gabinetu, salonu-sypialni, salonu-bibljoteki. Pod wpływem klasycyzmu, ale nawskroś oryginalnie ujętego, powstają owe arcydzieła, szafki, biurka, komody, salonowe garnitury. Jest już uspokojenie linji, niema gorączki rokoka. Wytwornie, prześlicznie inkrustowane, złocone lub rzeźbione meble, mają cudne obicia z Beauvais. Trudno opisać wdzięk tych wnętrz, niby skromnych a w istocie przewspaniałych, najzbytkowniejszych jakie można sobie wyobrazić [1]). Jak przed śmiercią wypogadza się pomarszczone oblicze staruszka, można rzec młodnieje, — tak przed burzą rewolucji i śmiercią ancien regime'u sztuka uspokojona uśmiecha się łagodnie, bezsilna do dalszego życia.

Życie w ostatniej chwili przed zagładą szlachetnieje i chce się dźwignąć, lecz odzywa się pierwszy grzmot nadciągającej burzy i podnosi się na długie lata krwawa kurzawa rewolucji. Widać w mroku rozbestwioną tłuszczę, zbrojną w kosy, widły i cepy gdy maszeruje drogą do zamków. Widać płomienie szalejące w zbytkownych pałacach. Widać rabowane i niszczone cuda sztuki. Raz wraz spada z jękiem gilotyna, coraz inna arystokratyczna głowa stacza się do katowskiego kosza.

Groza wionęła po Europie. Zamarł śmiech, pogasły świece w kryształowych żyrandolach. Poczuli wszyscy, że się coś skończyło bezpowrotnie, coś umarło na wieki. Że się jakiś wielki okres usunął w przeszłość, a dzieje ludzkie rozpoczynają zapisywać nową kartę historji krwią i ogniem. Aż powstał mocarz, który pługiem wojny przeorał kontynent wszerz i wzdłuż, Potężną swą wolą tysiące strącał w otchłań i tysiące wynosił z nicości wzwyż. Zbudowało się nowe życie na nowych zasadach, z innemi poglądami. W inne ręce przeszło berło władzy, prawo wyrokowania co piękne, co dobre, co modne.

Mieszczańskie wnętrze mieszkalne istniało zawsze, lecz było trochę ich kopją, trochę parodją, było zasklepione w światku własnych potrzeb, niepodlegające falom zmiennym mody nowego stylu. Dopiero, gdy się rozpętała burza rewolucji i wojny, gdy stanęły w ogniu dumne pałace, zwróciły się oczy świata na mieszkanie miejskie, gdzie żyli nowi władcy i tyrani, gdzie się kryli ludzie wczorajsi, skąd szły nowe prądy na świat. I ponieważ zawsze przy każdym przewrocie co dawne to złe, co nowe to dobre,—stały się modne skromne pokoiki o białych firankach w oknie, z mebelkami z ciemnego drzewa bez ozdób i złoceń, wysmukłe szafki zegarowe, wygodne foteliki. Modne się stały gładkie obcisłe suknie i małe kapelusze-budki. To był dyrektorjat.

Do bardzo niewielu krajów nie dotarł wstrząs 1789 roku i tam ma sztuka ciągłość nieprzerwaną, lecz wkrótce wyczerpuje się i nie jest zdolna stworzyć nic nowego, wegetuje na przeszłości. Natomiast kontynent zalśniewa niebawem nową świetną epoką cesarstwa. Zwycięskie orły Napoleona panują światu i nowe mocarstwo bierze berło w swe dłonie.

Na modłę Rzymu starodawnego stroi się świat. Rzym cezarów jest wzorem i ideałem. Z dawnego

[1]) Powstają pałace i pałacyki, pełne wdzięku i prostoty na którą złożyły się wieki kultury formy.

Rzymu czerpie się modę na fryzury męskie i kobiece klejnoty, na stoły, łoża, fotele, świeczniki, na ozdoby, na zwyczaje. Lśni i błyszczy nowy dwór, nowy styl, nowi ludzie. Wschodzą nowe gwiazdy świata artystycznego, nowe potęgi i genjusze tworzą nowe arcydzieła architektury, malarstwa, rzeźby na wzorach klasycznych. Powstają empire pałace, ale powstają jednocześnie empire mieszkania miejskie. Od tego czasu wszystkie warstwy wyrokują o modzie, co się dzieje i robi w zamku, to samo — w mieście. W różnej skali coprawda, lecz identyczne. Sztuka się zdemokratyzowała.

W XVII wieku zginął obronny zamek, ze zbrojną załogą, z murami i fosą. W XVIII wieku umiera magnacki pałac-rezydencja jako ośrodek życia, z licznym dworem, z rezydentami, masą służby i gości. Jego echem będzie wiejski dwór przez cały XIX wiek i początek XX, z potężną tradycją, z utartym schematem poglądów, z zegarowym trybem życia nastawionym od wieków. (Ten dwór zginie częściowo po huraganie wojny światowej, a życie jego ulegnie gruntownej zmianie, dalsza zaś egzystencja potoczy się zupełnie inną drogą). Jednocześnie powstają ogniska w mieście, dwory przenoszą się z różnych powodów do miast i tu wiodą dalszy swój żywot.

Od tej epoki począwszy, chcę się przyjrzeć specjalnie wnętrzom polskim, dworu wiejskiego i miejskiego mieszkania, jedynie czasem posiłkując się dziejami zachodu, skąd czerpaliśmy i czerpiemy wzory życia.

Zygmunt Knothe.

NONSZALANCJA TOWARZYSKA

Nie będę tu mówiła o przedziwnych „gaffach", wynikających z zupełnego braku wychowania domowego, o różnych anegdotycznych a jednak prawdziwych wypadkach, kiedy człowiek zajmujący dosyć wysokie stanowisko w hierarchji społecznej oświadcza komuś, że nie może przyjść w ranną wizytę, gdyż dom jest elegancki — a on nie posiada fraka! Lub też, że nie lubi obiadów proszonych, bo podają na nich groszek zielony, który przy jedzeniu spada z noża lub szparagi, które cieką do rękawa. Lub też przyjmuje starszego od siebie człowieka, starszą kobietę — o ile przychodzą w charakterze petentów, lub nawet zwykłych interesantów, lecz takich bez listu polecającego, takich z którymi się liczyć nie potrzebuje, — siedząc wygodnie w fotelu, czasem z cygarem w zębach, latem bez marynarki, i zapomina nawet zaproponować, aby przy rozmowie zechcieli usiąść. O tonie rozmowy i sposobie traktowania interesanta już nie będę lepiej mówiła, aby je oddać dokładnie musiałabym pióro maczać nie w atramencie, lecz w żółci.

Wspomnę tu tylko o kilku przyzwyczajeniach powojennych, których nabrali zupełnie dobrze wychowani ludzie. Pierwsze z nich będzie zupełne niestosowanie się do godzin, na które ktoś jest zaproszony. Prosi się gości na obiad, przypuśćmy na czwartą, zawsze jest dopuszczalny kwadrans opóźnienia, — szczególniej w dużem mieście, przy dużych przestrzeniach, gdzie, kto nie posiada własnego auta, wynajętego lub dorożki nie zawsze dostać może, nie mówiąc już o lokomocji tramwajowej, zupełnie niepoddającej się obliczeniom.

Ktoś jeden przychodzi więc pierwszy o kwadrans po czwartej, rozmowa z gospodarstwem na razie ożywiona, powoli, przy rozwijającem się poczuciu głodu coraz to słabnie. Kwadrans na piątą gość drugi, — ucieszony że przyszedł na czas, gdyż obiad nie podany jeszcze. Rozmowa znów się więc ożywia, goście spoglądają na drzwi do jadalni, gospodyni kręci się zakłopotana na fotelu, ale cóż kiedy właśnie tych gości, na cześć których obiad jest wydany, lub tych, z którymi dwaj wcześniej przybyli koniecznie się spotkać mają, niema jeszcze. O pół do szóstej, czasem znacznie później, zjawiają się, nakoniec, oczekiwani czasem się strasznie tłumacząc, czasem, — bo i tak bywa! — zaznaczają tylko, że oni zawsze tak, bo on bardzo zajęty interesami, a ją fryzjer zatrzymał. Że obiad jest przestały, to odczuwają wszyscy, ale czemu muszą cierpieć i ci lepiej wychowani, którzy przyszli mniej więcej w porę i uprzejmi gospodarze, którym ten spóźniony obiad nieraz psuje plany na resztę dnia, lub wieczoru, a czasem przeszkadza załatwić bardzo ważny interes. Albo też zwykłe „five'y" od piątej do siódmej, na które goście sie schodzić zaczynają około ósmej, licząc na to, że uprzejmi gospodarze gości nie wyrzucą, natomiast nie licząc się wcale z tem, że gospodyni zamiast kawy z likierem i petit-four'ów niespodzianie musi dać kolację lub conajmniej herbatę z zimną przekąską na kilkanaście lub więcej osób. Radykalnym srodkiem, aby nie mieć takich niespodzianek — mieć odrazu przygotowaną herbatę i przekąski, — nie każdy jednak ma na to czas, ochotę i pieniądze!

Najmniej może szkodliwem jest spóźnianie się wieczorne, jednak bardzo niemiłe szczególniej kiedy towarzystwo ma grać w karty. Wiadomo, że brydżyści lubią dobrane partje, co jest zupełnie zrozumiałe, otóż — jeżeli jeden dobry gracz przyjdzie w porę, inni zaś o parę godzin się późnią a w międzyczasie przyjdzie paru tak wulgarnie zwanych „partaczy", ci się przymówią do bridge'a a gospodyni, nie mając wyboru, uformuje taki niedobrany stolik, niezadowoleniom i kwasom niema końca. Z kolacją lub przekąską źle sie też dzieje. Jeśli gości, proszonych na dziewiątą, część przyjdzie o dwunastej, a kolacja była podana już o dziewiątej, byłoby słusznem, aby ci spóźnieni, pozostali głodni, tymczasem nasza polska gościnność na to nie pozwala, — o ile nie pozostało kolacji zaczyna się wyszukiwanie przeróżnych zapasów, dorabianie części na prędce, — jednem słowem szalone zmęczenie dla gospodyni i dla służby. Zebranie było tak obliczone, że muzyka czy śpiew, karty czy tańce miały trwać najdalej do pierwszej, a tu przyszli nowi goście i wszystko się zaciągnęło do trzeciej lub więcej. To są tylko drobne, nieliczne przykłady, a możnaby ich spisać tomy.

Przed wojną takie rzeczy były nie do pomyślenia, dzisiaj codziennie się zdarzają, i wcale się dziwić nie można temu, że życie towarzyskie zamiera, że ludzie niechętnie urządzają przyjęcia, że wprost się urządzać boją. A sprawa ubrań! Kobiety wogólności bardziej się dzisiaj stroją niż przed wojną. Różnice pomiędzy tualetą poobiednią i wieczorową prawie zupełnie są zatarte, to też gospodyni może się bać o jedno tylko, iż niektóre panie przyjdą tak wystrojone, że inne, skromniej ubrane, będą się czuły temi strojami skrępowane. Gorzej jest z panami.

Już i tak zdemokratyzowaliśmy się tak dalece, że frak się ukazuje tylko w wyjątkowo uroczystych okazjach, — coprawda nuworisze potrafią go czasem wraz z cylindrem włożyć nawetw rannych godzinach, — lecz jeszcze raz powtarzam, że nie o nich mówię.

Otóż frak zastąpiono smokingiem, a nawet elegancką, czarną marynarką, tymczasem panowie pozwalają sobie nieraz na zebranie proszone przyjść w kolorowym garniturze, lub w kombinacji ciemnej marynarki ze spodniami w paski lub kratki, i to do towarzystwa, gdzie ich żony i córki są niemal w balowych tualetach. Jest to nieposzanowanie dla domu, do którego się przychodzi i dla kobiet, w których towarzystwie się przebywa. Przenoszenie atmosfery sans-façon dancingu lub kabaretu na grunt salonu. I to nawet nie dancingu, gdyż do przyzwoitszego dancingu mężczyzny nieubranego w strój wieczorny zwykły służący przy drzwiach stojący nie wpuści. A gospodarze domu muszą z pobłażliwym a nawet uprzejmym uśmiechem tolerować. A ogólne palenie przy stole, palenie, zaczynając od zupy prawie, bez zastanowienie się nad tem, że chociaż najbliższa sąsiadka zapytana o pozwolenie dała odpowiedź przyzwalającą, mogą w towarzystwie znaleźć się, — nieliczne coprawda, — jednostki niepalące, które mdli od tej atmosfery wędzarni. Czyż tak trudno doczekać się końca biesiady i wypalić cygaro, fajkę lub papierosa w palarni lub gabinecie pana domu. Widziałam nawet, serjo widziałam! panów chodzących po salonie z fajką w zębach, pomiędzy tańczącemi parami.

Na szczęście przyznać muszę, że widziałam tę okropność zaledwie parę razy tylko. A grymaszenie przy jedzeniu, — tego nie lubię, tamtego mi doktór zabrania etc. etc. Jeżeli się czego nie je, odsyła się spokojnie dalej półmisek, starając się nie zwrócić na to uwagi sąsiadów lub gospodyni, lub, lepiej jeszcze, nabiera niedużą ilość na talerz i udaje, że się to je, aby nie robić przykrości tymże gościnnym gospodarzom. I setki są jeszcze, setki a może zgoła tysiące objawów tej powojennej nonszlancji towarzyskiej od której powinniśmy się oduczyć.

Pani Elżbieta.

POCHWAŁA JABŁKA [1])

Znowu dobra książeczka, tegoż autora, który dał nam wyborny podręcznik do zakładania ogrodów warzywnych. Taka praktyczna gospodarska książeczka. A jednak pachnie poezją, tą najwyższą poezją dobrego czynu, radości i piękna życia. Uśmiecha się do nas winieta na okładce pięknem kwitnących drzew. A z kartek bije woń dojrzałego sadu i ponad przepisy — doskonałe! — sadzenia i hodowli — ponad wysoce ciekawe zestawienia statystyczne — wzbija się gorąca pochwała, liryczny hymn poprostu, na cześć tego cudownego tworu przyrody, jakim jest jabłko!

Czy wiecie co to jest jabłko? — pyta autor — ile w niem jest tlenu, wodoru i węgla uwięzionego przez słońce i zmienionego w cukier, ile fosforu, źródło energji nerwowej i mózgowej — ile kwasu galasowego neutralizującego choroby? — i powtarza słowa wybitnego lekarza angielskiego, który pisze:

„Starożytni nazywali jabłko pokarmem bogów a sok z jabłka ambrozją, nektarem. który przywraca młodość. Jabłko jest i dzisiaj najbardziej królewskim pokarmem człowieka, cudownym odnowicielem młodości. Gdyby każdy jadł codzień dobre dojrzałe jabłko, to liczba chorób zmniejszyłaby się o połowę."

„Gdyby każdy jadł codzień dobre, dojrzałe jabłko! — wzdycha autor. — Gdyby to nawet było małe jabłuszko 100 gramowe, to i wówczas jedlibyśmy w Polsce w ciągu roku jeden miljon ton jabłek a chcąc mieć ten miljon ton, trzebaby posadzić w Polsce dwadzieścia pięć razy tyle jabłoni, ile mamy obecnie. To znaczy, że dzisiaj mamy w Polsce jedno małe jabłuszko na miesiąc."

Dlaczego taki stan rzeczy? Przedewszystkiem mamy za mało drzew owocowych.

W Niemczech wypadają 3 drzewa owocowe na głowę ludności, u nas — jedno.

Ale co gorzej, to że nasze drzewa są źle posadzone i źle pielęgnowane — giną zawcześnie, lub marnieją i dają złe owoce. a my — spowadzamy, renety kanadyjskie, lub australijskie! Rzecz prosta że na ten luksus mogą sobie pozwolić tylko bogacze a większość ludności, ta której by najwięcej owoce się należały, nie może ich dostać. Dzieci, młodzież szkolna je mięso, kartofle a na deser — ciastka na lichym tłuszczu, lub farbowane cukierki. A przecież, od czasów Reja, żyje w nas niby sentyment dla sadu i jego płodów.

Jak pragnieniom naszym praktyczną, dać podstawę uczy doskonale ten, z zamiłowaniem przedmiotu napisany przewodnik.

Jeżeli pomyślimy ile jest w naszym kraju nieużytków, pustych dziedzińców, zachwaszczonych ugorów, a choćby modnych małych ogródków ze stereotypowemi klombikami, to łatwo sobie wyobrazić, ile mogłoby powstać takich 300 metrowych sadów, które po kilku latach dałyby właścicielom „kilo owocu przez cały rok codziennie!"

Gdyby w każdej gminie polskiej jedną tylko morgę przeznaczyć na takie ogródki owocowe to po kilku latach mielibyśmy z tego źródła przeszło 7000 wagonów owoców rocznie...

„Tak wielkie rzeczy robią się z małych, jeśli się robią gromadnie.

„I każdy kto sobie założy ogródek owocowy na 300 metrach kwadratowych będzie miał oprócz jednego kilogramu świeżych owoców codziennie miłe poczucie, że przyczynił się do wyzwolenia swego kraju od przywozu obcych towarów."

* * *

Kogo przekona teorja niech się bierze do praktyki. Bojaźliwy nowicjusz znajdzie w książeczce p. Gałczyńskiego wyłożone jasno i dokładnie, jaką przygotować ziemię, co sadzić i kiedy sadzić, jak strzec drzew przed chorobami, jak owoc zbierać i przechowywać.

---

[1]) Ogród owocowy na trzystu metrach kwadratowych jak z takiego ogródka mieć przez cały rok codziennie kilogram owoców—napisał *Bronisław Gałczyński*. Nakładem autora Piaseczno pod Warszawą 1926 r. cena zł. 1.50

Jak owoc otrzymać „jaknajwcześniej, jaknajlepiej — z jaknajmniejszym zachodem.“

W ogródku będziemy mieć 25 drzew (prócz 20 krzaków porzeczek i 40 malin). Będą to: 1 czereśnia, dwie wiśnie, cztery gruszki i 18 jabłonek.

Bo jabłoń jest królową polskich sadów.

Drzewka te będą karłowe, prócz trzech piennych: 1 czereśni i 2 jabłoni.

Te zasadzimy może nie dla siebie, ale dla drugiego pokolenia.

„Nie każdemu dane pozostawić po sobie pamiątkę w postaci jakiegoś wielkiego dzieła, — każdy może drzewo posadzić dobre, które kiedyś Panu Bogu na chwałę wyrośnie ogromne, ludziom na pożytek będzie słodkie jabłka rodzić — i z którego jak z książki przeczytają wnukowie, że dziadek o nich pomyślał.“

Powiedzcież, czy to nie jest poezja? I jako pięknie, że godzi się z największą praktycznością.

Czekamy teraz na „o g r ó d k w i a t o w y,“ obiecany nam przez autora. *K. B.*

Przepisy gospodarskie

WŁOSKA ZUPA „MINESTRA.“

Najlepiej jest ją robić na pozostałym z dnia wczorajszego rosole. Oprócz zwykłej włoszczyzny, kładzie się do niej latem szparagową fasolę, zimę zwykłą białą, suszoną fasolę, którą należy w tym celu namoczyć w wigilję, wieczorem. Dużą marchew, lub dwie mniejsze, sporą pietruszkę, takąż porę, kawałek selera, jeden młody grzybek surowy nastawić w takiej ilości wody, aby tylko objęła i gotować, aż zmięknie, jeśli mamy świeżą. zieloną lub szparagową fasolę, dodajemy jej ćwierć kilo poszatkowanej w paski, jeśli mamy fasolę suchą, należy ją ugotować na miękko oddzielnie i dodać do jarzynek. Zalać jarzynki rosołem, włożyć trzy duże kartofle pokrajane w paski i sporą cebulę także pokrajaną, gotować wolno, aż kartofle zmiękną. Do wazy wsypać kilka łyżek ryżu oddzielnie ugotowanego na wodzie z łyżką masła, lub pozłotą z rosołu. Oddzielnie podaje się do tej bardzo pożywnej zupy tarty parmezanz, lub inny ostry ser

KREM ORZECHOWY

Dziesięć deka orzechów włoskich, już obranych z łupinek, przyczem należy brać orzechy suche już zupełnie, utrzeć w specjalnym młynku lub utłuc jaknajdrobniej z łyżką cukru, aby nie puściły oleju. Pół litra kremowej śmietanki, mocno zastudzonej ubijać trzepaczką, dodać piętnaście deka utłuczonego drobno cukru (może być i kryształ, lecz zawsze tłuczony w moździerzu), pół cala wanilji, utłuczonej w cukrze, domieszać orzechy, nakoniec dodać sześć listków żelatyny, wpierw dobrze wymoczonej w zimnej, potem rozpuszczonej w paru łyżkach gorącej wody, wymieszać dokładnie, przełożyć do formy, umaczanej w wodzie i wysypanej cukrem, postawić na chłodzie na godzin sześć. Wyłożyć na półmisek i obłożyć małemi orzechowemi petit-fourami, (herbatnikami) lub makaronikami.

RÓŻNE GARNITURY Z KARTOFLI

Mamy wiele miejscowości w kraju, gdzie całemi miesiącami innych jarzyn oprócz kartofli dostać nie można, — wprawdzie kartofle mają tę samą właściwość co chleb czarny i wołowina, że się nie łatwo przejadają, jednak wobec tego, że każdemu, szczególniej bardziej wymagającemu co do kuchni, rozmaitość jest miła, podaję tu kilka sposobów przyrządzenia kartofli na garnitur do mięsa. Wiele z nich jako oddzielne danie na kolację lub w dzień postny użyte być mogą.

K a r t o f l e p o f r a n c u s k u „p o m m e s s o u f f l é e s“, najtrudniejsze da zrobienia, bardzo wykwintne w smaku. Kartofle bardzo mączyste pokrajać w plasterki grubości nie więcej niż ćwierć centymetra, osuszyć czystą ścierką. Przygotować fryturę w dwóch szerokich rondlach. Włożyć w średnio gorącą fryturę, postawić na ogień, gdy zaczną się pokrywać jakby pryszczami, wyjmować durszlakową łyżką i przełożyć zaraz do mocno rozpalonej frytury w drugim rondlu. Powinny od razu napęcznieć i mocno się zrumienić. Osączyć na durszlakowej łyżce, osolić miałką solą i zaraz podawać. Takie kartofle są uważane w Paryżu za wielki przysmak i podawane tylko w pierwszorzędnych restauracjach.

K a r t o f l e „à l a M a i t r e d'H o t e l“. Ugotować jak zwykle w wodzie osolonej, obrane i pokrajane w kostkę lub wydrążone łyżeczką w kulki kartofle. Łyżkę masła zagotować z pół łyżką mąki, rozprowadzić szklanką rosołu i łyżką śmietany, lub też szklanką słodkiej śmietanki, lub w ostateczności niezbieranego mleka, włożyć sporą garstkę zielonej pietruszki siekanej, osolić do smaku, kartofle osuszyć na sicie lub durszlaku, przełożyć do sosu, zagotować raz jeden, podawać natychmiast, żeby się nie porozpadały, używa się do befsztyków, antrykotów, sztuki m i ę s a, zamiast sosu i do ryb smażonych lub gotowanych.

K a r t o f l e „p a i l l e s“, (s ł o m k i). Duże kartofle nie wodniste, obrać i pokrajać w cienkie paski, około pół centymetra grube i jak można najdłuższe. W dużym rondlu rozgrzać fryturę, jak na pączki. Do koszyczka, specjalnie do smażenia przeznaczonego, a zrobionego z ocynkowanego drutu, włożyć te kartofle i pogrążyć wraz z nimi we wrzącą fryturę, powinny w niej pływać. Gdy rumiane wyjąć z całym koszyczkiem, potrzymać chwilę nad rondlem, aby je dobrze osączyć. Wyłożyć je na półmisek, dopiero wtedy osolić je miałką solą. Wykwintny dodatek do befsztyków po angielsku, rozbefu, sznycli cielęcych lub innych mięs smażonych. *Pani Elżbieta.*

KOSMETYKI DR. J. ŚWITALSKIEJ
Wysyłka za zaliczeniem i sprzedaż detaliczna
Krucza 31, m. 3.
„MÓJ KREM“ działa ochronnie przeciw zmarszczkom, wydelikaca i wygładza skórę
„MÓJ PUDER HIGJENICZNY“ w rozmaitych odcieniach.
„MYDŁO LILJOWE“ dla najwrażliwszych skór.
„KREM DO RĄK“ działa wybielająco.
„PIEGOLIN“ krem na piegi.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Pan Stanisław Kwołek we Lwowie. Odpowiadam wyłącznie na łamach „Bluszczu“ — z grzybów hodować można dotąd tylko pieczarki. Specjalną książeczkę o hodowli pieczarek polecić panu mogę: „Hodowla pieczarek“, p. Feliksa Teodorowicza, wydana niedawno w Poznaniu. Grzybnię pieczarkową dostanie Pan w Warszawie w firmach Hosera, Al. Jerozolimskie 45, lub Ulrycha, ul. Sienkiewicza 11, lub też u p. Adolfa Wesołowskiego, ogrodnika przy województwie w Katowicach. Dobre przepisy marynowania grzybów są prawie w każdej książce kucharskiej, „Bluszcz“ je także umieszcza w sezonie grzybów.

* * *

Na życzenie wielu Czytelniczek wydaliśmy książeczkę p. t. „Ozdoby choinkowe“, która podaje około trzydziestu ozdób wraz ze sposobem ich wykonania. Kto chce tanio i własnoręcznie ubrać w tym roku drzewko, niech zamówi powyższe wydawnictwo, nadsyłając do redakcji „Bluszczu“ 1 zł. 50 gr., t. j. cenę książeczki, która natychmiast zostanie wysłana pod wskazanym adresem.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Nauczycielce z Wołomina. Niestety, kuracja Pani, polegająca na głodzeniu się — nie doprowadzi do oczekiwanego rezultatu. Tylko osoby bardzo młode mogą obchudzać się bezkarnie w ten sposób. U pań starszych skóra, pozbawiona warstwy tłuszczu, wiotczeje i zwisając w brzydkich fałdach, tworzy zmarszczki.

Chcąc zachować młodzieńczą linję ciała należy przeprowadzić inny system kuracji, a mianowicie masaż leczniczy, polegający na mechanicznem usuwaniu tłuszczu, który zanika, a jednocześnie jędrniejące pod wpływem masażu mięśnie nie pozwalają na utratę elastyczności skóry.

Oczywiście, poddając się masażom, musi Pani zwrócić uwagę, ażeby zabieg ten wykonywała tylko wykwalifikowana w odpowiedniej szkole masażystka.

Pani Marceli. Proszę o podanie, jaka dziedzina wiedzy lekarskiej najbardziej Panią interesuje. Na wydelikacenie rąk polecam „Mój Krem do rąk“ w tubkach.

Wiśni. Brodawki nie radzę wypalać środkami żrącemi. Wszelkie przypalania pozostawiają po sobie blizny, a często w efekcie końcowym na nowo tworzą się brodawki. Jako środek radykalny polecam diatermię, która usuwa bez śladów i nigdy nawrotów nie daje.

Czytelniczce z Łodzi. Sądząc z opisu cierpi Pani na łojotok skóry silniejszego stopnia. Należy stosować leczenie wewnętrzne i zewnętrzne — jako wewnętrzne stosowanie soli karlsbadzkiej w przeciągu 6 tygodni pół łyżeczki soli na szklankę wody, rano przed jedzeniem, następnie przez okres 3 miesięcy, do wewnątrz zymaze—preparat drożdżowy, ze względu znowóż na regularne wypróżnianie nienależy używać ostrych potraw, czarnej kawy i trunków.

Pielęgnacja skóry wymaga, aby myć twarz rano i wieczorem wodą gorącą z mydłem (Mydło li'jowe Dr. J. Świtalskiej), spłukiwać zimną na noc wodą, po umyciu wycierać twarz następującym płynem:

Ac. solicyl. Resorcini resubl. aa 2,0. Spir. vini 60% 100,0, na dzień zetrzeć „Mój Krem“ i zapudrować można pudrem higjenicznym, dobranym do koloru skóry. „Mój Puder“ doskonały środek leczniczy, kilka razy dziennie przy skórze tłustej, należy przypudrować, Po 6 tygodniach proszę napisać ponownie.

M. M. Trudno radzić bez zobaczenia. Plamy bronzowe leczy się zapomocą silnie złuszczających środków, które stosować można jedynie do skóry silnej i zdrowej. Nie wiem do jakiego typu skóry należy cera Pani. Po za tem doskonałe usługi oddaje w tym względzie światłolecznictwo.

Niezapominajce. Na wzmocnienie tłustych włosów proszę wcierać w przeciągu 4 tygodni w skórę głowy następujące lekarstwa: Resorcini puriss 5,0. Spir. comph. 20,0. Vini raetif 80,0, Ds zewnętrznie. Po upływie tego czasu proszę napisać w celu kontynuowania dalszego leczenia.

Zmywać głowę raz na 10 dni przepisanym płynem: Borcis 20,0. Amon. muriat 10. Viteli uni. Aq. destill 40,0. Sapopix 100,0. Ds do mycia włosów.

Dance. Co do leczenia skóry twarzy, odsyłam do odpowiedzi udzielonej czytelniczce z Łodzi w dzisiejszym numerze. Ziółek na schudnięcie można Pani wysłać porcję miesięczną. Jest to minimum do osiągnięcia jakiegoś rezultatu. Przy tem leczeniu niezbędna jest djeta bardzo uciążliwa, sposób użycia (podaję przy wysyłce).

Dr. J. Świtalska.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 45

1022. Suknia z kasha granatowego, kołnierzyk i kamizelka koloru bois de rose.

1023. Suknia z wełny bronzowej, przybrana aksamitem w kostkę bronzową z piaskowym.

1024. Kostjum z pelerynką z kasha, koloru feuille morte.

1025. Suknia z crêpe marocain, koloru terrakota, haft złoty.

1026. Suknia z welwetu ciemno - zielonego — kamizelka kremowa.

1027. Suknia taftowa dla dziewczynki sześcioletniej, przybranie z różyczek ukręconych z jedwabiu.

1028. Suknia z crêpe de chine'u, koloru rezedowego, przybrana haftem w kolorach brudno-różowym i złotym.

1029. Suknia z crêpe marocain, koloru parme, przybrana srebrnym haftem.

1030. Palto z sukna granatowego, przybrane futrem.

1031. Suknia z kasha granatowego, przybrana aksamitem.

1032. Suknia z wełny piaskowej i ciemniejszego aksamitu dla dziewczynki dziesięcioletniej.

1033. Suknia dla młodej panienki z sukna, koloru terrakota.

1034. Palto z kasha, koloru ciemno-rudego, przybrane futrem.

1035. Matinka z crêpe de chine'u deseniowego i gładkiej georgette'y, przybrana riuszką ze wstążki odpowiedniego koloru.

1036—1037. Modne fasony spódnic.

1038. Szlafrok z miękkiej wełny deseniowej koloru pervenche.

1039. Spódnica welwetowa i bluzka z lekkiej wełny w białe pasy.

1040. Sześć narożników chusteczek do nosa.

1041. Serwetka sześciokątna, haft richelieu.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne.	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobnedesenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, niewysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

* * *

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
Dział praktyczny pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ-OKOŁÓW
Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99. tel. 239-40.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.